

25-lecie
wyzwolenia
Majdanka

DWADZIEŚCIA pięć lat temu — 23 lipca 1944 roku — Armia Radziecka wyzwoliła Lublin i położony na jego peryferiach obóz koncentracyjny na Majdanku. Żyją jeszcze więźniowie, których wkraczające do Lublina oddziały radzieckie zastały w obozie, żyją nieliczni z tych więźniów, których w ostatnim okresie istnienia obozu okupant hitlerowski wywiózł do obozów w Oświęcimiu, Manthausen, Gross-Rosen i innych miejscach. O zagładzie setek tysięcy zamordowanych więźniów świadczą ponure narzędzia śmierci — komory gazowe i krematorium, rowy, gdzie zastrzelono tysiące więźniów oraz mogiły w lesie krepieckim.

Dwudziestopięćlecie wyzwolenia Majdanka nasuwa wiele refleksji. Obóz koncentracyjny i ośrodek zagłady na Majdanku stanowi jeden z najbardziej wstrząsających dowodów ludobójstwa hitlerowskiego na Lubelszczyźnie, gdzie w okresie okupacji działały ośrodki zagłady w Belżcu i Sobiborze, ponad dwieście obozów pracy, liczne więzienia oraz obozy jeńców radzieckich, które pochłonęły ponad milion ofiar.

W tym systemie zagłady obóz na Majdanku, usytuowany w pobliżu dużego miasta, jakim był Lublin, stanowił ośrodek wielkiego kombinatu śmierci — był bowiem obozem jeńców polskich i radzieckich (Kriegsgefangenenlager Lublin — jak brzmiała jego pierwotna nazwa), a później stanowił obóz pracy, obóz koncentracyjny kobiet i mężczyzn oraz ośrodek zagłady, gdzie zabijano więźniów — bez ich ewidencji. Podlegały Majdankowi jako obozowi centralnemu podoboz w Bliżynach, Radomiu, Budzynie i Warszawie (Gęsiówka), związane z nim były obozy w Trawnikach i Poniatowej oraz więzienie na Zamku lubelskim. Więźniowie Majdanka pochodzili ze wszystkich ziem polskich, z Białorusi, Ukrainy i innych terenów Związku Radzieckiego, z krajów Europy Środkowej, zachodniej i południowej.

Dotychczas nie ustalono i prawdopodobnie nigdy nie będziemy mogli ustalić dokładnie liczby ofiar Majdanka. Hitlerowscy zbrodniarze starannie zacierali ślady zbrodni, nie prowadzili dokładnej rejestracji więźniów, wielu z nich zabijali niemal bezpośrednio po przywiezieniu do obozu, a opuszczając obóz, mimo panicznej ucieczki, niszczyli kartoteki więźniów i akta kancelarii obozowej.

Obóz został wyzwolony w chwili, gdy hitleryzm przygotowywał się do trwałej obrony przed atakiem sprzymierzonych, którego wyrazem była ofensywa radziecka w lipcu 1944 r. Oczom żołnierzy Armii Radzieckiej i Wojska Polskiego ukazał się straszliwy obraz, żywej jeszcze niemal, ludobójczej działalności okupanta hitlerowskiego.

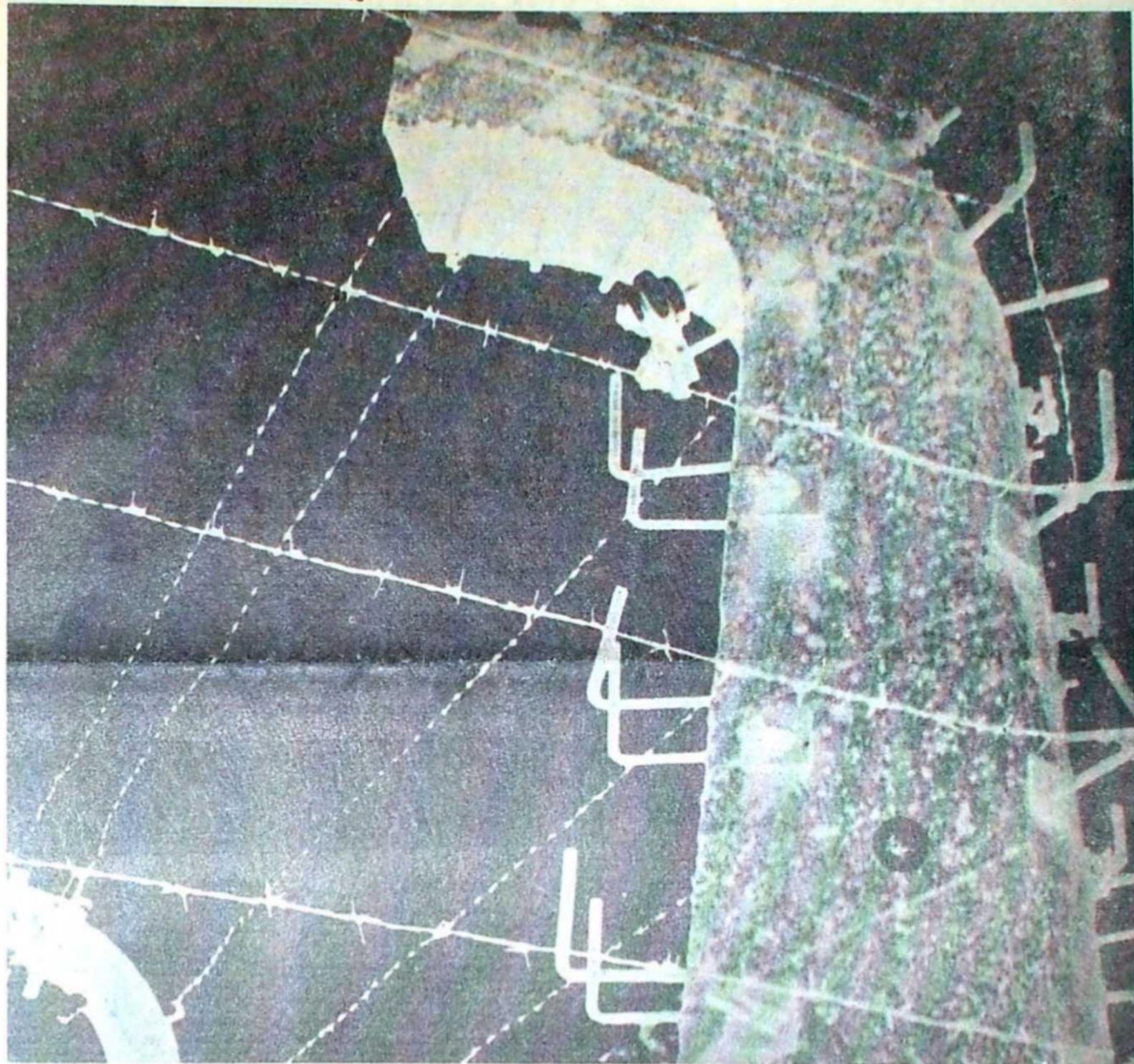
Na długo przed zwycięską ofensywą radziecką hitlerowcy rozpoczęli przygotowania do ewakuacji i likwidacji obozu. Zapoczątkowano ją 1

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW
Kamena

LUBLIN 14.IX.1969. Nr 19 (426)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

MAJDANEK**NIGDY WIĘCEJ**

O ISTNIENIU obozu i o tym, co tam się dzieje, wiedzieliśmy dość dokładnie, a mimo to zaskoczył mnie ten widok i poruszył do żywego.

Kilku mężczyzn w pasiakach ciągnęło w górę ulicy Mickiewicza ciężki wóz, do jakiego zaprzęga się normalnie dwa silne konie. Na koźle siedział umundurowany Niemiec z karabinem gotowym do strzału, obok szedł więzień z opaską z napisem „kapo” i poganiacz ciągnących. Na drugi dzień widzieliśmy ich znowu, potem niemal codziennie, czasem jeden wóz, czasem więcej. Stary budynek szkoły przy ul. Kochanowskiego musiał przyjąć dodatkowo uczniów dwóch innych szkół, których lokale zostały zabrane przez okupantów. Nauka odbywała się więc do godzin wieczornych.

Gdy wypadali nam lekcje po południu, widzieliśmy powrót tych wozów do obozu. Więźniowie idący w zaprzęgu ślaniali się ze zmęczenia, podtrzymywali nawzajem, nieraz Niemiec czy kapo popędzali ich kijem. Bywało, że wieźli na wo-

zach tych, którzy padli w tej pracy. Wypatrywałem za każdym razem pilnie, czy nie zobaczę brata matki, który był więziony w obozie, a rodzicom nie udawało się nawiązać z nim żadnego kontaktu. Trzeba było jednak przyglądać się dyskretnie, idąc drugą stroną ulicy i nie zatrzymując się, bo groziło to pejszem kapo lub kolbą karabinu Niemca. Zdarzały się już takie wypadki, byliśmy ostrożni. Dzieci z dzielnicy Dziesiąta i ze wsi Dziesiąta, przylegającej do obozu, udając się do szkoły musiały nie tylko mieć odrobione lekcje, ale przede wszystkim wiedzieć wiele rzeczy, których nie ma w żadnym programie nauczania.

Ale przecież trudniej było dorosłym, zwłaszcza tym, którzy mieszkali w bezpośrednim sąsiedztwie obozu i musieli dzień w dzień przechodzić obok drutów, obok kolumn ludzi w pasiakach, pracować, oddzieleni od nich, jedynie szerokością polnej drogi, czy też udawać się do pracy najmniejszej w obozie. Majdankiem nazywano pola należące do wsi Dziesiąta pod Lubli-

nem. Zakładając na tych polach wielki obóz śmierci, Niemcy nie kryli się z tym. Komin krematorium widać było z każdego wyższego punktu w mieście, ze wsi Dziesiąta — z każdego okna wychodzącego w tym kierunku. Najbliższe domy znajdowały się odeń w odległości 200—300 metrów.

Główna ulica, biegnąca przez wieś Dziesiąta, nosi nazwę Wyzwolenia. Tu ta nazwa znaczy więcej chyba niż gdzie indziej. Kiedy teraz idę tą ulicą, w miejscu, gdzie obóz zbliża się do niej najbardziej i skąd najbliższej do komory gazowej i krematorium, spotykam Wojciecha Chylińskiego, rolnika, dziś już 63-letniego. Pracuje w polu, tak jak i wtedy, gdy nieoczekiwanie zobaczył, że zaczynają zwozić na nie materiały i stawiać baraki oraz budować ogrodzenie. Zanim je wybudowali, rozstawili gęsto patrole wzdłuż drogi. Przerwali mu robotę i bez słowa wyjaśnienia wygonili z pola. Na gruntach Chylińskiego właśnie, jego brata, Stanisława, oraz Józefa Króla, stoi krematorium. Tych, którzy mieli swoje zabudowania po tej

stronie drogi, zawiadomili, by je natychmiast opuścili na zawsze. Jan Wójcik, kowal, mieszkał w małej chałupince z bali, bez fundamentów. Zaprzęgił do niej kilka koni i przeciągnął na drugą stronę drogi. Budynek mieszkalny i gospodarstwo innych ludzi z tej strony drogi zostały przez Niemców rozwalone. Kilku zmuszono do obozowej pracy w przyobozowym gospodarstwie rolnym, nie jako więźniów, lecz robotników najemnych, ale bez możliwości jej porzucenia. Stanisława Jaloche i Józefa Buczkę zmuszano do tego aż do wyzwolenia. Mieszkali w obozie, a do miasta mogli wyjść tylko z przepustką.

Wieś Dziesiąta w przeważającej mierze zabudowana była po prawej stronie drogi, idąc od miasta, lecz grunta swoje miała głównie po lewej stronie, majdankowskiej. Większość chłopów z dnia na dzień znalazła się więc bez ziemi, bez pracy, a zatem z perspektywą przymusowego wyjazdu na roboty do Nie-

Dokończenie na str. 3

**Sąsiedziwo
przez druty**

Romuald Wiśniewski



Po pożarze meczetu

PISZĘ te słowa przy końcu sierpnia. Trudno przewidzieć, co nowego może się zdarzyć na Bliskim Wschodzie, gdy ten numer „Kamery” dojdzie do rąk czytelników. Dziś sytuacja jest napięta. Bardzo napięta.

Oto splanąca część wspaniałego meczetu Al Aksa („Daleki”), który po Mekce i Medynie jest trzecim świętym miejscem i celem pielgrzymek wyznawców islamu z całego świata. Wzniesiony w 638 r., dwa lata po zdobyciu Jerozolimy przez Arabów, otrzymał obecny kształt w XIII wieku. Ogień strawił kopułę meczetu, wyrządził też wielkie szkody wewnątrz świątyni.

W całym świecie mahometańskim zawrzało. Kraje arabskie, zwykle dalekie od jednorodności, zaczęły mówić tym samym językiem.

Prezydent Nasser w wygłoszonym orędziu stwierdził: *„Pelen uczyć gniewu, smutku i bólu, który napelnia serca całego naszego narodu, zwracam się do was, do sił zbrojnych, wszystkich Arabów, by podkreślić ponownie, po długich rozważaniach, że popełniono zbrodnię, jedną z najbardziej okrutnych w naszej historii, że nie ma innej drogi dla zwycięstwa naszej sprawy, niż mobilizacja wszystkich sił arabskich. Utorowaliśmy wszystkie drogi prowadzące do pokoju, ale wróg Boga i nasz wróg zamknął je. Nie zanieśliśmy żadnej okazji, ale wróg Boga i nasz wróg wzniósł przeszkodę i zabarykadował wszystkie drogi... Po tej zbrodni popełnionej na meczecie Al Aksa nie uważamy, by napiętnowanie i krytyka okazały się pozytywne; Izrael udowodnił, że nie jest w stanie zapewnić ochrony świętych miejsc. Jedynym wnioskiem, do jakiego powinniśmy dojść i o którego słuszności powinniśmy przekonać, jest taki, że wróg nie ma prawa pozostania tam, gdzie jest obecnie... Oficerowie i żołnierze! Musicie zastanowić się nad wydarzeniami ostatnich dwóch dni. Zdobyć głębokie przekonanie, że na was spoczywa odpowiedzialność za ochronę świętych miejsc...”*

A król Arabii Saudyjskiej, Fajsal, występując w charakterze strażnika świętych miejsc muzułmańskich, zwrócił się z apelem do świata muzułmańskiego, wzywając do deklaracji „świętej wojny” przeciwko Izraelowi.

W ubiegłym roku — mówił — apelowałem o mobilizację wszystkich naszych sił w imię wyzwolenia świętych miejsc. Ponowiam dziś ten apel, wzywając was do „dżihadu”. Wszystkie pokojowe rozwiązania nie dały dotychczas żadnego rezultatu. Możecie być pewni, że wyznawcy w całym świecie udzielą poparcia naszej sprawiedliwej wojnie. Syjonizm nie szanuje ani wartości duchowych, ani miejsc świętych, ani decyzji ONZ. Syjonizm rozumie tylko jeden język — język siły. My, muzułmanie, powinniśmy ustalić bliższy termin, kiedy spotkamy się w Jerozolimie i wyzwolimy naszą ziemię i nasze święte miejsca. Stojmy wobec alternatywy: zwycięstwo lub meczetostwo.

Kraje arabskie prowadzą ożywione konsultacje dyplomatyczne. W Kairze toczą się obrady nadzwyczajnej konferencji arabskich ministrów spraw zagranicznych. Izrael jest wyraźnie zaniepokojony reakcją, z jaką w całym świecie spotkał się pożar meczetu. W Jerozolimie aresztowano niejakiego Michaela Rohana, Australijczyka, którego oskarża się o podpalenie świątyni. Na marginesie tego wydarzenia francuski dzien-

nik „Figaro” pisze: *„Być może, Rohan jest drugim van der Lubbem, podpalaczem Reichstagu. Ale jaki interese ma Goida Meir, aby grać rolę Goeringa?”*

Najwidoczniej sami Izraelczycy widzą, że afera jest sztyt zbyt grubymi niemi. Początkowo bowiem zapowiedzieli, że proces Rohana rozpocznie się 25 sierpnia, jednak w ostatniej chwili prokurator Izraela, Meir Szamgar, ogłosił, że proces odbędzie się dopiero w połowie września. Wbrew poprzednim doniesieniom Szamgar nie mówił nic na temat rzekomego przyznania się Rohana do winy.

Tymczasem zaostrzyła się i sytuacja militarna. Po raz pierwszy od czerwca 1967 r. izraelska czołg Jerozolimy została ostrzelana z rakiet. Trwa wymiana ognia w strefie Kanalu Sueskiego. Ożywiła się na terenach okupowanych przez Izrael działalność partyzancka.

Słowa potępiające zbrodniczy zamach na świątynię rozlegają się na całym świecie. Minister spraw zagranicznych Indii podkreśla, że *„pożar meczetu jest obrażą dla całej ludzkości. Izrael nie może uchronić się od odpowiedzialności za ten czyn. Pakistański prezydent stwierdza, że rząd podejmie kroki w kierunku uzgodnienia wspólnego stanowiska z innymi państwami muzułmańskimi dla zapewnienia ochrony świętych miejsc muzułmańskich i odzyskania Palestyny. Rząd Kuwejtu z kolei deklaruje, że nie ośmielszą wypelniać wszystkich ciążących na nim zadań w związku z tą okrutną zbrodnią popełnioną przez okupacyjną władzę syjonistyczną.”*

Słusznie pisze francuska agencja France Presse, że *„pożar meczetu podzielał jak katalizator na cały świat arabski, który odzyskuje jedność działania wobec wspólnego wroga, Izraela. Gniew i oburzenie ucieleśniają się zarówno na ziemiach okupowanych, jak i w stolicach arabskich, a także państwach muzułmańskich, położonych daleko od strefy ogarniętej wojną.”*

Pożar meczetu może być tą kroplą, która przepelnia kielich goryczy. Ponad dwuletnie zabiegi ONZ, mające na celu ugaszenie ogniska wojennego na Bliskim Wschodzie i zmuszenie Izraela do opuszczenia okupowanych obszarów, nie przyniosły żadnego pozytywnego rezultatu. W smętej Jerozolimie okupanci izraelskie kroki za krokiem rozszerzali swą kontrolę nad arabskim sektorem miasta. Ostatnią ustawą izraelską był tzw. dekret o normalizacji administracyjnej z 1968 r. Arabowie potraktowali tę ustawę jako pogwałcenie mające na celu usunięcie z terenów okupowanych wszystkich Arabów, którzy z powodu ich zdolności, czy też samej liczebności mogliby stanowić element oporu lub opozycji przeciw dominacji tego państwa, które jest okupantem i rozpycha się coraz bardziej.

Trudno wnioskować, jaki może być dalszy rozwój wydarzeń na Bliskim Wschodzie. Powszechnie mówi się o możliwości wznowienia konsultacji wielkich mocarstw. Niezależnie od wyniku tych konsultacji jedno jest pewne: nie może być trwałego pokoju w tej części świata, dopóki nie zlikwiduje się skutków izraelskiego podboju z 1967 roku. Czas nie pracuje na korzyść Izraela, ale na korzyść państw arabskich. Agresor nie może otrzymywać nagrody w postaci aneksji nowych terytoriów arabskich. Im prędzej uświadomią to sobie przywódcy Izraela, tym lepiej i dlatego państwa, i dla sprawy ogólnowiatowego pokoju.

Zmarli

- ♦ Tadeusz Kalinowski, aktor teatralny i filmowy, laureat nagród ministrów Kultury i Sztuki oraz Ochrony Narodowej. W ostatnich latach pracował w Teatrze im. Sł. Wyspiańskiego w Krakowie.
- ♦ 73-letni dziennikarz Tadeusz Siemianowski. Niemal całe życie spędził w Zakopanem, propagując to miasto w piśmie „Gazeta” i w „Przeglądzie Wybitnym” działaczem społecznym.
- ♦ 36-letni radziecki aktor filmowy i piosenkarz Marek Bernes. Największą popularność przyniósł mu film „Czołowiek z karabinem”. Był laureatem Nagrody Państwowej.

Literatura

- ♦ W dniach 1-3 września odbył się w Gdańsku XII Zjazd Pisarzy Ziemi Zachodniej i Pomorskiej. W pierwszym dniu m. in. oddano hołd 133 pisarzom polskim, którzy zginęli w ostatniej wojnie. Relacje ze zjazdu zamieścimy w następnym numerze.
- ♦ Wrocławskie „Ossolinum” wydało opracowaną przez Słaski Instytut Naukowy książkę „Młoda Polska na Śląsku 1898-1922”. Zawiera ona 78 tekstów literackich, opatrzonej życiorysami autorów i ich bibliografią.
- ♦ Pow. Dom Kultury w Wąbrzeźnie w woj. pomorskim zorganizował 32 teatralne konkursy poezji w powiecie, skupiających kilkadziesiąt dziewcząt i chłopców.
- ♦ W ZSRR ukazało się tłumaczenie powieści Janusza Przymanowskiego „Siedzielniki” z przedmową ministra Obrony Narodowej PRL, gen. Jaruzelskiego.
- ♦ Lipcowy numer miesięcznika „Literatura Radziecka” wśród wielu materiałów, związanych z Polską, zamieścił cykl wierszy poetów radzieckich, poświęconych naszym krajowi.
- ♦ Z inicjatywy UNESCO w Kijowie zorganizowano wystawę, poświęconą pamięci Kotlańskiego, pierwszego klaszka nowej ukraińskiej literatury.
- ♦ Nowela Zeromskiego o „Zołnierzu talacu” budziła dotąd wiele kontrowersji, zwłaszcza gdy chodzi o drugą jej część (skazanie na śmierć chłopca — jej weterana wojen napoleońskich). Jak się okazuje, w 1839 r. w Poltawie wo Francji wysłała książka Jana Gasztownia „Pan Sędzic — czyli opowiadanie o Litwie i Zmudzi”, która Zeromski musiał poznać w Rapperswilu. Zawiera ona taką właśnie historię chłopca, a autor w specjalnym dopisku zapewnia, iż historia ta jest całkowicie prawdziwa.
- ♦ Laureat nagrody Nobla w dziedzinie literatury z 1963 r. grecki pisarz Jorgos Seferis po dłuższym milczeniu opublikował w tym roku powieść „Wzrost i upadek” o „zderzeniu wotności w Grecji i wprowadzenie kraju w stan kryzysu i martwość, w którym grozi zastój wszelkiemu życiu intelektualnemu”.

Muzyka

- ♦ Koncert orkiestry i chóru Filharmonii Narodowej zainauguruje tegoroczna „Warszawska Jesień”. Ta trzynasta już z rzędu impreza będzie jakby festiwalem prawykonań wielu nowych dzieł muzyki polskiej, m. in. dwóch oper: „Mały ksiądz” do słynnej powieści Saint-Exupery’ego z muzyką Zbigniewa Bargielskiego i operze na sześciopięciopiętność „Romeo i Julia” z muzyką Bernadetty Matysczak. Udział zapowiedziano także zespoły z ZSRR, Hiszpanii, NRD, Francji, Włoch, Danii i Anglii.
- ♦ Witold Rudziński opublikował bardzo interesującą książkę „Listy Moniuszki”, która rzuca wiele nowego światła na postać naszego wielkiego kompozytora. Moniuszko przedstawiony jest tam jako człowiek pełen energii, żywo interesujący się współczesnym życiem politycznym, społecznym i artystycznym.
- ♦ Orkiestra Kameralna Filharmonii Narodowej występowała z koncertami w Libanie i Syrii, grając m. in. kilka współczesnych utworów polskich.
- ♦ W Mariąńskich Łańkach, gdzie przed 140 laty przebywał nasz kompozytor, odbył się X Festiwal Chopinowski.

Film

- ♦ Wytwórnia Filmów Dokumentalnych zrealizowała pełnometrażowy film „Między wrześniem a majem” reżyserii Romana Wionczaka. Jest to wielka panorama historyczna, ukazująca losy narodu polskiego i jego wysiłek zbrojny w latach 1939-1945. Film obejmuje m. in. wiele nie znanych dotąd zdjęć, przemówień mężów stanu, piosenek żołnierskich.
- ♦ „Lekcja polskiego” — to tytuł filmu Marii Kwiatkowskiej, poświęconego słynnemu Michałowi Drzymałemu, chłopcu wielkopolskiemu, który stał się symbolem oporu wobec pruskiego ciemiężcy.
- ♦ Beata Tyszkiewicz otrzymała propozycję występowania w filmach węgierskim, niemiecko-radzieckim, francuskim i polskim.
- ♦ Z okazji święta narodowego Socjalistycznej Republiki Rumunii w warszawskim kinie „Sikarp” odbył się tydzień filmów rumuńskich, zainaugurowany barwną, szerokoekranową „Kolumną Trajana”.
- ♦ Drugi w lipcu numer dwutygodnika „Sowietski Ekran” niemal w całości został poświęcony polskiej kinematografii.
- ♦ Francuska aktorka Jeanne Moreau dała się skusić dolarami. Wystąpi po raz pierwszy w amerykańskim westernie.
- ♦ Z pewnością w przeszłości Hollywood przyczynił się do rozwoju sztuki filmowej i stworzył pewne trwałe wartości — powiedział w wywiadzie podczas pobytu w ZSRR wybitny amerykański kompozytor filmowy i producent Dmitri Tiomkin. — Dziś jednak przeżywa okres upadku. Miejsca znakomitych artystów zajęto wielu rzemieślników. Produkcja filmowa przechodzi coraz bardziej w ręce wielkich spółek, którym sprawa sztuki jest absolutnie obojętna. Symptom kryzysu dostrzegam przede wszystkim w zalewie twału i porno-grafii, który dziś przeciąga się już przez ekrany niemal całego świata.

Różne

- ♦ W okresie lata 2-3,5 tys. osób dziennie zwiedza zespół muzealny w Wilanowie. Pokazana część stanowią dzieła z kolekcji. Dyrekcja muzeum wada wewnątrzne zarządzenie, aby do sal palacu wprowadzono dzieci dopiero począwszy od piątej klasy, gdyż młodzie w ogóle nie odbierają tego, co oglądają. Zdaniem dyrekcji w Wilanowie, podobna zasada powinna być wprowadzona we wszystkich muzeach w Polsce.
- ♦ Archiwum w Opolu w porozumieniu z władzami oświatowymi przygotowało przewodnik historyczny oraz szereg tek tematycznych z fotokopiami dokumentów, świadczących o historycznej polskości tych ziem, jak również przedkładaniach wszystkich co polskie w okresie hitlerowskim.
- ♦ W Puszczy Kampinoskiej znajduje się wiele zabytkowych drzew, wszystkie pod ochroną. Na wiec debę mające ponad 500 lat i topole z okresu napoleońskiego, wiaz wysokości 120 m. sosny z okresu powstania styczniowego.
- ♦ W Zielonej Górze utworzono wreszcie Wojewódski Dom Kultury. W przyszłym roku rozpocznie się budowę odpowiedniego gmachu.
- ♦ We wsi Chorzele w woj. warszawskim staraniem mieszkańców pięciu powiatów odsłonięto pomnik Tadeusza Kościuszki dla uczczenia patriotycznej postawy ludności kurpiowskiej w czasach działalności Naczelnika. Pierwszy pomnik, zbudowany w 1822 r., zburzył hitlerowcy.

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

- ♦ 13 sierpnia minęła 26 rocznica wzbudzenia powstania w getcie białostockim, ślad po krwawym stłumieniu powstania Niemcy wywieźli do obozów zagłady i zamordowali 40 tys. Żydów. W związku z tą rocznicą odbyła się okolicznościowa akademii w Domu Związków Zawodowych w Białymstoku, ponadto w miejscach martyrologii Żydów zainicjowano warty honorowe oraz złożono wieńce i kwiaty.
- ♦ Red. Anna Zarembina z „Gazety Białostockiej”, autorka m.in. interesującego cyklu reportażu pt. „Gdzie są ludzie z tamtych lat?”, została odznaczona III nagrodą na konkursie ogłoszonym z okazji 25-lecia PRL przez CRZZ pod hasłem: „Ludzie — Lata — Przemiany”.
- ♦ Coraz bardziej interesujące formy przybiera działalność kulturalno-oświatowa Białostockiego Zarządu Powiatowego ZMW. Organizuje się spotkania z ciekawymi ludźmi, kursy kulturalne i oświatowo-polityczne. Działa 24 klubów i świetlic. Ostatnio wspólnie z kołami LZS zorganizowano interesujące festyny w Malenikach, Orli i Augustowie.
- ♦ Ożywiła działalność wystawiennicza prowadził Zarząd Wojewódzki TPPR w Białymstoku. W ciągu trzech minionych lat zorganizował 59 wystaw. Ostatnio w hallu kina TPPR czynna jest ekspozycja reprodukcji dzieł malarstwa słynnej Galerii Treliakowskiej.
- ♦ Dynamiczna działalność wykazuje w tym sezonie także biłostocka „Estrada”. Patronuje ona zespołom, które cieszą się wzięciem u publiczności. Występują lub mają wystąpić m.in. M. Cwiklińska ze spektaklem „Drzewa umiera, ja stoję”, „Trubadury”, „Silna grupa pod wezwaniem”, teatr „Komedia” z Warszawy z musicaliem „Nasza jest noc”, S. Przybylska, H. Bielińska i M. Wojnicki w programie „Pół żartem pół serio”.

KIELCE

- ♦ W połowie sierpnia filmowcy z wytwórni wojskowej „Czołwka” kręcili film o malarzu scen batalistycznych, Józefie Fafarskim, który urodził się w Bodzentynie w 1910 r. i stał tam mieszka. Film, reżyserowany przez A. Brzozowskiego, ukazuje prace rzeźnicze tego malarza-samouka, jego obrazy oraz działalność jako konserwatora zabytków w Bodzentynie.
- ♦ W miesiącach letnich prowadzone były badania nad ludowym budownictwem mieszkalnym w powiatach: koneckim, pińczowskim i kaziemierskim. Badania, kierowane przez prof. dr Romana Reinfussa, prowadził Dział Etnograficzny Muzeum Świętokrzyskiego. Celem tych prac, które są zresztą kontynuacją robót z lat ubiegłych, jest

opracowanie syntetycznej monografii budownictwa ludowego Kielecczyzny z przełomu XIX i XX wieku. Jednym z najciekawszych obiektów jest drewniany budynek w Chobru.

♦ Nowo powstała Wyższa Szkoła Nauczycielska w Kielcach posiada trzy wydziały: Humanistyczny, Matematyczno-Przyrodniczy i Pedagogiczny. W tym roku odbył się pierwszy nabór studentów. Spórdo blisko 900 kandydatów indeksy otrzymało 280 osób.

♦ Od trzech lat co roku organizuje się w pow. opoczyńskim Tydzień Turystyki. 17 sierpnia zakończy się impreza tegoroczna. Wystąpiły zespoły artystyczne z kieleckich zakładów pracy, rozegrano zawody sportowe, „zgodnie-zgodnie” oraz zorganizowano kiermasz książek.

LUBLIN

♦ Prezydium WRN w Lublinie przyznało za rok 1969 nagrody wojewódzkie osobom i zespołom szczególnie zasłużonym na polu pracy zawodowej i społecznej oraz nauki i kultury. Nagrody otrzymali: w dziedzinie nauki — rektor WSH, prof. dr. B. Dobrzański, kierownik Kliniki Ortopedycznej AM, prof. dr S. Piątkowski i badacz dziejów najnowszej historii Polski doc. dr Z. Mańkowski; w dziedzinie kultury — literat S. Wojski, twórca ludowy W. Kuchta, artysta plastyk E. Nauduski, nauczyciel J. Lulek, kierownik ekspozytury CWF, Z. Stępnia, sekretarz wojewódzkiego oddziału NOT, T. Tuz; za całokształt pracy pedagogicznej — L. Wójto wiczowa; nagrody dziennikarskie — zastępcza redaktora naczelnego „Sztandaru Ludu” W. Smutek, publicysta rozgłośni PR w Lublinie Cz. Klepałki. Nagrody zespołowe otrzymał: Państwowy Teatr Laiki i Aktora im. Andersena, Zespół Tańca Ludowego UMCS oraz Lubelskie Zakłady Graficzne.



Zwierzyniec — nad stawem Fot. J. Urban

♦ Pod koniec września we Włodawie nastąpi odsłonięcie pomnika, poświęconego pamięci ofiar II wojny światowej. Projektantką i wykonawczynią jest rzeźbiarka z Warszawy, Zofia Kan-Pocławska. Prace są już zaawansowane.

♦ W sierpniu przeszły pięć dni gości na Lubelszczyźnie uczestnicy Międzynarodowego Rajdu Młodzieży, zorganizowanego w 25 rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem. W rajdzie, którego drugi etap trwał będzie w kwietniu i maju 1970 r., bierze udział 71 osób, w tym setemsetowa z WSK Świdnik. Ponadto uczestnikami są też weterani ostatniej wojny. Zwiedzano dawne miejsca walk partyzanckich i pola bitewne. Odbyły się spotkania z przedstawicielami władz województwa.

♦ Wśród rozmaitych akcji wypożyczonych organizowanych na Ziemi Lubelskiej cenna inicjatywa wyróżniła się komenda ZHP w Tomaszowie, która wespół z zarządami PGR i spółkiermi produktowymi zorganizowała wędrowny pod namiotami dla dzieci robotników tych gospodarstw. Dzieci brały udział w zajęciach sportowych, wycieczkach i pracach harcerskich.

RZESZÓW

♦ W związku z 38 rocznicą tragicznego września Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Rzeszowie przygotowała sesję naukową, traktującą o zbrodniach Wehrmachtu w zasięgu obecnego woj. rzeszowskiego. Należem MON ukazał się praca ukazująca zbrodnie hitlerowskie popełnione w obozach jenieckich na tym terenie.

♦ W Przemyslu odbył się ogólnokrajowy kurs wakacyjny dla nauczycieli szkół muzycznych, dwunasty tego typu, zorganizowany przez Centralny Ośrodek Organizacyjny Szkolnictwa Artystycznego w Warszawie.

♦ W Muzeum — Zamku w Łańcuchu otwarto wystawę prac fotografików Władysława Władysława Szołcowa, Władysława Szołcowa, Jerzego Szandomirskiego pt. „Cerkiewki i chaty”. Przedmiotem prac trzech fotografików, zajmujących się zawodowo fotograficzną dokumentacją szlachecką, są m. in. ekspozycje z katedry Zabytków Ruchomych oraz muzeum pracowni konserwatorskiej Muzeum w Łańcuchu.

♦ Ciekawe zbiory muzealne Towarzystwa Miłośników Ziemi Mieleckiej — w tym zwłaszcza placówki muzealnej w tym ośrodku przemysłowym — powiększyły się ostatnio o zespół zabytkowych pomników farmaceutycznych, ofiarowanych przez mgr Zofię Pawlikowską z Mielca, a pochodzących ze słynnej tu ognia apteki Pawlikowskiej.

**NAJLEPSZA FORMA
TERMINOWEGO
OTRZYMYWANIA
„KAMENY”
JEST PRENUMERATA**

Sharon Tate i Roman Polański — jedno z ostatnich zdjęć.

Sąsiedztwo przez druty

Dokończenie ze str. 1

niemiec. Ale jeszcze bardziej przybliżające było to, co teraz zaczęło się dziać na ich polach. Przywożonych tam i wyniszczanych głodem, chorobami i ciężką robotą Żydów i jeńców radzieckich, bito aż do śmierci, rozstrzelano pojedynczo i zbiorowo. A potem doszli więźniowie Polacy i wielu innych narodowości. Na to wszystko potrzyła Dziesiąta — z bliska, przez szerokość drogi, za którą już były pola z kapustą, uprawiane przez więźniów, z odległości 150 metrów od drutów właściwego obozu. Jawnie obozu obserwować nie było wolno, ludzie patrzyli więc przez szczeliny pomiędzy deskami stodół, przez szpary robione w strzechach domów.

Z początku, kiedy nie było jeszcze krematorium i komór gazowych, Niemcy mordowali więźniów tam, gdzie znaleźli najlepsze warunki do tego.

— Za stodołą Władysława Stowicka był duży, naturalny dół. Przepędzali tam lub przywozili samochodami jeńców radzieckich, ustawiali nad brzoziem i rozstrzelali, a potem polewali czymś i palili — mówi Jan Wójcik. — Potem przenieśli się na pole Stanisława Dziwy, u którego było kilka mniejszych dołów i tam rozstrzelali ludzi, a także przywozili trupy i palili. Ale nawet, jak było krematorium, też tak robili. W roku 1943 na polu Stowicka rozstrzelali lub porabiali palcami cały transport dzieci i spalili je. Ludzie mówili wtedy, że dużo z tych dzieci jeszcze żyło, gdy podpalali stoc.

Chłopi z Dziesiątej jeździli stale ze swymi końmi do obozu, do pracy, co dawalo im zaświadczenie do Arbeitsamtu.

— Mój ojciec miał parę koni — wspomina Jan Niedziałek. — Nas było czterech braci. Ze względu na te zaświadczenia wszyscy kolejno jeździli końmi do roboty w obozie. Inni gospodarze też, w miarę możliwości, korzystali z tej okazji uchronienia się przed wywozem na robotę.

W czasie przebywania w obozie furmani z Dziesiątej stykali się często z więźniami. Przy tej okazji zawsze przekazywali im jedzenie zabrane ze sobą. Wkrótce nie tylko swoje drugie śniadania, lecz także większe ilości jedzenia oraz lekarstwa, dostarczane przez rodziny więźniów.

Edward Baran, który dziś jest oficerem, wtedy jako kilkunastoletni chłopiec brawurowo przewoził często i po kilkanaście bochenków chleba. Na Dziesiątą przyjeżdżali stale chłopi z Zamojszczyzny. Mieli chleb i słoninę, piekli z tego w mieszkaniach dziesiątaków specjalny

chleb przesycony tłuszczem, który potem furmani przewozili potajemnie do obozu. Dostarczano też do obozu i z obozu listy. Zajmował się tym między innymi Stanisław Gollan, dziś 50-letni pracownik Zakładów Mięśnych, który znał jako tako język niemiecki i w czasie kontroli przy wjeździe i wyjeździe łatwiej mu było zagadać strażników. Chłopi poznali po pewnym czasie system zmian warty, wiedzieli, który Niemiec skrupulatnie bada wozy i ludzi, a który pobieżnie, który lasy jest na wetkniętą mu w rękę paczkę papierosów czy kawalek kiełbasy. Niemcy sprawdzali głównie, czy furmani nie ukradli czego w obozie i nie wywożą. Dopiero potem zaczęli kontrolować dokładnie.

W późniejszym okresie patroli niemieckie krążyły nieustannie w dość dalekim promieniu od obozu. Latem 1942 roku wszystkich mieszkańców przedmieścia Dziesiąta, łącznie z dziećmi, wygoniono z domów, spędzono na jeden plac, a następnie przeprowadzono dokładną kontrolę dokumentów. Wiele osób zabrano wtedy na Majdanek, część z nich nie powróciła nigdy. Potem, w Boże Ciało, Niemcy zrobili łapankę w miejscowym kościele parafialnym. Przerwali nabożeństwo, aresztowali grupę mężczyzn. W 1943 r. w sobotę przed Zielonymi Świątkami, o świcie, Niemcy wywieźli do obozu wszystkich mieszkańców wsi Dziesiąta, oddzielili osobno mężczyzn, kobiety i dzieci i wypuścili po upewnieniu się, że nie było tam osób obcych. Mieszkańcy Dziesiątej niechętnie nocowali w sobie obcych ludzi, co zrozumiałe, w tę jednak noc kilku spało we wsi, na szczęście udało im się uciec przed pierwszymi patrolami.

Jako swój największy sukces chłopi wspominają pomoc w przedostaniu się do obozu, a potem wydobyciu stamtąd jakiegoś ważnego człowieka z ruchu oporu. Miał on ze sobą fałszywe dokumenty stwierdzające, że mieszka na Dziesiątej i jeździ sprzężając na zarobek do obozu. Chłopi wybrali dzień, gdy w bramie stał odpowiedni strażnik i pożyczili temu z konspiracji wóz i konie. Razem z innymi wyjechał do obozu, spotkał się z więźniem, o którego mu chodziło, a potem wyjechał.

— Zdarzało się, że nasze wozy używane były do transportu zwłok — wspomina Wojciech Chylliński — lecz w takich dniach nas zostawiali przy bramie wejściowej, a wozy brał od nas więźniowie. Niemcy wykładali je starymi piankami, aby nie było śladów krwi.

Nie zawsze zabezpieczano to dostatecznie.

— Nigdy nie zapomnę, jak odstawił nam z powrotem sianę, a rano zobaczyłem na nich rozmazaną krew



Końcowy etap prac przy wznoszeniu monumentalnego Mauzoleum — centralnej części pomnika ku czci ofiar Majdanka, zaprojektowanego przez rzeźbiarza W. Tokina.

i włosy ludzkie z kawalkiem skóry — mówi Zofia Kieliszewska, z domu Kasprzak.

Drogą przez Dziesiątą kolumny więźniów udawały się do pracy poza obóz. Gdy nadciągały, ludzie kładli na liściach lub na kamieniach na brzegu drogi chleb; czasem więźniom udawało się go podejmować. Podawać bezpośrednio nie było wolno. Dziesiątacy porzucali też chleb na drugim skraju drogi, tuż przy drutach, za którymi pracowali więźniowie. Zdarzało się że wartownik strzelał bez ostrzeżenia do podnoszących chleb więźniów. Wieś znała z widzenia strażników, wiedziała, kiedy można ryzykować, a kiedy nie. Ze zgrozą wspominają chłopi Niemca, zwanego Arturem, który z wyraźną satysfakcją strzelał do więźniów, oraz rudą Brygidę, maltretującą przy byle okazji więźniarki. Z doświadczeń mieszkańców Dziesiątej korzystali ludzie z odległych stron kraju, którzy przyjeżdżali tu, by przez druty próbować kontaktu z bliskimi. Longin Gollan wspomina niejaką pannę Skowrońską z Warszawy, która kilkanaście razy przyjeżdżała, aby popatrzeć przez druty na swego narzeczonego — aż wreszcie udało się jej to, porozumiała się z nim nawet na migi, z odległości jakichś 100 metrów. Powiedziała Gollanom, że jeśli przeżyje wojnę, przyjedzie ich odwiedzić. Nie przyjechała, to znaczy nie przeżyła. Mówię panu Gollanowi, że może żyje, ale zapomniała, albo tak się złożyło, że nie miała czasu... Nie, nie wierzy, w tamtych czasach nie rzucano się słów na wiatr.

Przeżywała Dziesiąta okresy radości, gdy ktoś uciekał z obozu, i niepokojów zarazem — czy nie spadną na wieś represje. Ach, jak się cieszyli, gdy uciekli dwaj jeńcy radzieccy. Roznosili oni w dzień, pod strażą, węgiel do bunkrów, położonych na zewnątrz obozu, w których w nocy stała dodatkowa warta.

Skądś mieli wódkę, dali ją swemu strażnikowi, ten wszedł na chwilę do bunkra, żeby lyknać trochę, tam związał go, zakneblował, jeden z jeńców przebrał się w jego mundur, wziął broń i tak wyprowadził drugiego w kierunku lasów w Zemborzycach. Albo gdy uciekł Tadeusz Malaj, ich, z Dziesiątej, chłopiec. Ubierał się podobnie, jak wielu Niemców — cywilów: w spodnie do konnej jazdy, skarpety do kolan, trzewiki i zielony kapeluszek z piórkami. Wylegitymowano go a ponieważ nie miał żadnych dokumentów, zabrano na Majdanek. Któregoś nocy razem z dwoma innymi przetrucili koce przez druty i uciekli. Jednego zastrzelili Niemcy zaraz za drutami, jednego zpalali na drugi dzień, a Malaj przesiedział w dole kloaczny, aż pogoń ustala, i udał się do rodziny pod Piaski Luterskie, gdzie potem zaczął uciekać na widok spokojnie kroczącego patrolu żandarmerii i został zastrzelony. Stanisław Jedrusiak, po którego przyjechali do domu i zabrali nie pozwalając nawet włożyć jednego buta, wyrwał im się na ulicy i biegnąc zrykami uciekł, choć strzelali doń z automatów: niestety wpadł potem w ręce przypadkowego patrolu.

Jeden z mieszkańców Dziesiątej pomógł ukryć się młodej Żydówce, gdy wraz z innymi prądo obozową bielizną w pobliskiej Czerniejówce. Schował ją pod mostem, potem u siebie w domu, wreszcie wyrobił jej fałszywe papiery i wziął z nią ślub w kościele na Dziesiątej. Do końca wojny mieszkała we wsi, wszyscy ją widzieli, do Niemców nie doszła jednak żadna wiadomość. Tu nie podaje nazwisk, gdyż po wojnie kobieta owa porzuciła męża i razem z nieletnią córką z tego małżeństwa wyjechała za granicę. Na Majdanku siedzieli Antoni Raczkowski, Antoni Kozak, Stanisław Mazur, Piotr Małek. W obozie zginęli: Jan Jalocho, Jan Raczkowski,

Ludwik Dyżma, Aleksander Ziarno, Piotr Malaj.

Przez te kilkanaście lat wieś dzieła, jakiego nie znają dzieje. Ciekli dym z krematorium kładł się na dachy domów i liście drzew. Śwad był tak przenikliwy, że jabłka na strykach — jeśli nie zostały szybko zjedzone, czy nie skarmione nimi bydła — przesiąkały nim tak, że po dłuższym leżeniu nie nadawały się do spożycia.

Dziesiąta była świadkiem tak wielkich egzekucji, jak ta największa, w listopadzie 1943 roku. Nic jednak tak chłopotliwie nie wstrząsało, jak egzekucje dzieci. Ich płacz i ich modlitwy. Płacz i modlitwy nie wpływały na zbrodniarzy. Nie dawałi zresztą swym ofiarom nawet możliwości skorzystania z ostatnich posług religijnych. Nie było ani razu wypadku, by do obozu został wpuszczony ksiądz — oczywiście, nie licząc tych, którzy weszli doń jako więźniowie. Proboszcz parafii Dziesiąta, ksiądz prałat Ignacy Zyszkiewicz, był w czasie wojny delegatem Kurii Biskupiej do Zarządu Okręgu PCK, a potem pełnomocnikiem Zarządu Głównego PCK na woj. lubelskie (funkcji prezesa Zarządu Okręgu wtedy nie było). W ramach możliwej wówczas działalności PCK, przekazując pewne ilości lekarstw do obozowego szpitala, czy nawet słomę do spania dla najciężej chorych, starał się o przesłanie komunii w ręce księży więzionych na Majdanku.

Według obliczeń proboszcza parafii Dziesiąta (obejmująca przedmieście Dziesiąta, wieś Dziesiąta i dzielnicę, nazywaną się wtedy Bychawska) liczyła w czasie wojny około 9 tys. osób. W obozach i więzieniach zginęło około 700 osób — nie licząc tych, którzy polegli na froncie, lub zginęli pod bombami. Dziesiąta, która żyła w cieniu krematorium, płaciła ciężką daninę krwi.

Romuald Wiśniewski

25-lecie wyzwolenia Majdanka

Dokończenie ze str. 1

kwietnia 1944 r., kiedy wysłano z Majdanka do obozu dziecięcego w Dzierżynie koło Łodzi kilkaset dzieci. Od tam niemał codziennie zaczęto wywozić transporty więźniów, z których każdy liczył co najmniej tysiąc osób. 3 kwietnia wysłano do Natzweller w Alzacji 1500 więźniów, w tym ok. 1200 Polaków. 5 i 6 kwietnia skierowano kilkuset więźniów w Gross-Rosen koło Wrocławia. Ok. 2 tys. mężczyzn 8 kwietnia wysłano do Oświęcimia, z których ok. 100 zmarło w drodze. 13 kwietnia wywieziono do Oświęcimia jeszcze 1287 kobiet i 40 dzieci. Ostatni transport z Majdanka, liczący 901 więźniarek, odszedł 19 kwietnia do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück.

Transporty te odbywały się w nieludzkich warunkach, gdyż więźniowie znajdowali się ściśnięci w wagonach towarowych, przegrodzeni drutami kolezastymi, bez jedzenia i wody. Dlatego wielu z nich umierało po drodze.

W końcu kwietnia ustala ewakuacja. W obozie na Majdanku zostało ok. 1500 jeńców radzieckich oraz 530 więźniów różnych narodowości, w tym 86 Polaków. Od początku czerwca zaczęto przywozić nowe grupy więźniów — 600 więźniów żydowskich z filii Majdanka w Budyniu, a następnie ok. 1500 rodzin chłopskich z Zamojszczyzny oraz sąsiednich terenów Rzeszowskiego. Ta ostatnia grupa została ujęta w

czasie pacyfikacji tamtych terenów przez Wehrmacht, żandarmerię i gestapo, oskarżona o współpracę z oddziałami partyzanckimi. W początkach lipca wywieziono 1250 jeńców radzieckich do obozu w Mauthausen. W połowie lipca obóz na Majdanku mieścił ok. 3000 więźniów.

Jednocześnie zbrodniarze hitlerowscy przystąpili do zacierania śladów zbrodni. Rozpoczęto stopniową rozbiórkę baraków na opustoszałych polach więziennych, zaczęto demontować wielu urządzeń obozowych, które przygotowywano do wysyłki do innych obozów koncentracyjnych na terenie Rzeszy Niemieckiej.

Nieliczne pozostałe grupy więźniów na Majdanku przeżywały najbardziej tragiczne dni. Dzięki docierającym do nich nielegalnym wiadomościom więźniowie wiedzieli o wielkiej, zwycięskiej ofensywie radzieckiej, cieszyli się nadziejami. Z drugiej strony zdenerwowani ludobójcy hitlerowscy nie zaprzestali akcji eksterminacyjnej. Wielu więźniów, których schwymano w czasie ostatniej obławy na Zamojszczyźnie, przewieziono w lipcu do więzienia na Zamku. Skazani na śmierć, wracali na Majdanek, gdzie w krematorium wykonywano na nich wyrok śmierci. Od 10 lipca 1944 r. codziennie przywożony transporty więźniów z Zamku, skazanych na śmierć w krematorium. Największa egzekucja odbyła się w dniach 20 i 21 lipca 1944 r., kiedy na terenie krematorium rozstrzelano ok. 800 więźniów przybyłych z Zamku lubelskiego.

Był to już jednak koniec hitlerowskiej kaźni na Majdanku, gdyż 22 lipca wojska radzieckie zbliżyły się do miasta. Teżoż dnia władze hitlerowskie wydały rozkaz likwidacji obozu. W największym pośpiechu palono dokumenty kancelarii obozowej, podpalono budynek krematorium. Po południu 22 lipca wyprowadzono ponad 1000 więźniów w kierunku na Kraśnik — Annopol do Oświęcimia. W czasie tej wędrówki wielu więźniów zginęło, gdyż oprawy hitlerowskiej po drodze nie chciały opóźniać ucieczki, rozstrzelali słabszych. Po pięciu dniach wędrówki dotarło do Oświęcimia zaledwie 451 więźniów, a pozostała część po drodze zginęła. Zaledwie 40 więźniom udało się zbiec w czasie transportu, z tego ok. 20 osób zbiegło w czasie postoju w Kraśniku dzięki pomocy społeczeństwa polskiego.

W obozie na Majdanku pozostała grupa 272 jeńców radzieckich, głównie inwalidów, oraz chłopi ze wspomnianej już pacyfikacji, których nie zdążyło zapewne ewakuować.

Tragedia Majdanka została zakończona. Pozostali nieliczni świadkowie zbrodni hitlerowskiej, pozostały komory gazowe i krematoria, doły masowych egzekucji ze zwłokami więźniów, resztki akt kancelarii obozowej, setki dowodów osobistych więźniów wszystkich narodowości Europy, tysiące zrabowanej odzieży, butów i przedmiotów osobistego użytku. To potworne świadectwo hitlerowskiego ludobójstwa wymagało oskarżenia przed całym światem.

Już w sierpniu 1944 r. PKWN powołał „Polsko-Radziecką Komisję Nadzwyczajną do zbadania zbrodni niemieckich dokonanych w obozie zniszczenia na Majdanku w mieście Lublinie”. Komisja zabezpieczyła teren obozu i jego urządzenia, ocalała od zniszczenia pozostawione akta kancelarii obozowej, przeprowadziła pierwsze przesłuchania i zorganizowała pierwszą wystawę dokumentów zbrodni hitlerowskiej na Majdanku dla dziennikarzy i reporterów wojennych całej prasy alianckiej.

Komisja 16 września 1944 r. wydała także komunikat, w którym po raz pierwszy podano charakterystykę obozu, skład narodowościowy więźniów i metody ludobójczej działalności hitlerowców.

Jesienią 1944 r. teren obozu został przekształcony na muzeum pamięci pomordowanych ofiar hitlerowskiego ludobójstwa.

Zaczęto gromadzić dokumenty, zbierano relacje, zeznania byłych więźniów, powstawały wspomnienia ofiar kaźni majdankowskiej, które ocaliły od zapomnienia tragiczny obraz, wskrzeszono dzięki pamięci byłych więźniów.

Muzeum na Majdanku i jego ocalałe urządzenia stały się obiektem wieluset tysięcy wycieczek całego społeczeństwa polskiego, miejscem wycieczek zagranicznych, wiecznym dowodem hańby hitlerowskich ludobójców.

Zbrodnie, popełnione na Majdanku, tylko częściowo zostały ukarane. Dotychczas z 1200 zbrodniarzy, stanowiących jednorazowo załogę Majdanka, tylko 130 stanęło przed sądem za zbrodnie, dokonane w lubelskiej kaźni śmierci. Ogromna większość z nich uniknęła ręki sprawiedliwości. Wielu zbrodniarzy znalazło schronienie w Niemieckiej Republice Federalnej, gdzie sądy

traktują ich z wyjątkową pobłażliwością. Sześć załogi wartowniczej SS-Obersturmführer Walter Langleit do dziś przebywa na wolności. Komendant filii Majdanka przy ulicy Lipowej SS-Hauptsturmführer Wolfgang Mohwinkel w ubiegłym roku został przez sąd w Hanowerze zwolniony z „braku dowodów winy”. Naczelny lekarz obozowy SS-Obersturmführer Heinrich Rindfleisch, kierownik oddziału więziennego SS-Hauptsturmführer Herman Hackmann, kierownik administracji obozowej SS-Hauptsturmführer Heinrich Worster i wielu innych nie zostało dotychczas ukaranych. Problem ten jest tym bardziej aktualny, że w NRF są odradzające się tendencje przedawnienia zbrodni ludobójstwa. Występując przeciwko temu, rząd PRL przedstawił w dniu 5 marca 1965 roku na forum ONZ memorandum, w którym czytamy: „uznanie bezkarności i umożliwienie swobody działania ludziom, którzy rozpętali drugą wojnę światową i dopuszczając się licznych zbrodni prowadzili ją z pogwałceniem wszystkich praw człowieka i podstawowych wolności ludzkich — może stanowić zachętę do nowych tego rodzaju zbrodni i w konsekwencji zagrożić międzynarodowemu pokojowi i bezpieczeństwu”.

W 25 rocznicę wyzwolenia obozu naród polski postanowił wzniesić na Majdanku pomnik ofiarom i bohaterom Majdanka, aby ich cierpienia i śmierć przypominały całemu światu o zbrodniach hitlerowskich i stały się przestroga dla całej ludzkości.

Paweł Dąbek

(Skrót artykułu, który ukazał się we wrześniu br. w 4 n-rze „Zeszytów Majdanka”.)

SEN O »SARMACKICH ATENACH«

Tadeusz Graba

RAKOWSKI kościół parafialny — z lekka renesansowy, z lekka barokowy — mocno i głęboko wkopał się w niewielki pagórek, otoczony metalowym ogrodzeniem. Na fasadzie czernieją dwa otwory, wyłobione przez pociski artyleryjskie w 1944 r., kiedy to osada znalazła się na pierwszej linii przyczółka sandomierskiego, a okopy radzieckie od niemieckich dzieliła odległość głosu; do dziś pomiędzy drzewami okolicznych lasów widać się transepty: niemieckie — prowizoryczne, wyłobione w pośpiechu, bez nadziei, radzieckie zaś — solidnie umocnione. Nad klasyczną harmonią renesansowego portalu, poniżej wojennych okaleczeń, chłodno i uroczyście błyszczą tablica z łacińskim napisem, którego fragment w przekładzie na polski oznajmia świątyni: *Modł się za dobrego pasterza twego i ciesz się w Rakowie, że w tym miejscu, gdzie bezbożnie wyniszczyli Syna i Ducha jako niższych od Ojca, w nim obecnie masz czuć równość Trójcy Świętej.*

Rakowski kościół parafialny wzniesiono w latach 1640—45 na miejscu wcześniejszego zboru arińskiego i nadając mu imię Trójcy Świętej, w swej dogmatycznej wykładni podważanej przez Braci Polskich, potwierdzono ich ostateczne pohańbienie.

Zaledwie 68 lat gospodarzyli Bracia Polscy w Rakowie, lecz krótki ten okres wystarczył im całkowicie na przekształcenie założonego w 1569 r. prowincjonalnego, ukrytego wśród lasów i piaszczystych pagórków miasteczka w kwitnący ośrodek życia umysłowego o znaczeniu bez presady europejskim. Była w ich działaniu jakaś, do dziś uchwytna, niezwykła celowość i racjonalność. Określała program ideowy Braci i przedłużała się na praktykę życia codziennego. Wątpiąc w abstrakcyjne modele teologicznych dogmatów w rodzaju Trójcy Świętej, uważnie obserwowali to wszystko, co działo się na ziemi, wśród ludzi, i próbowali reformować stosunki społeczne ówczesnej Rzeczypospolitej.

Bo ja tak rozumiem i wierzę, że się wiernemu nie godzi mieć poddanych, a daleko mniej niewolników i niewolnic. Aza nie ciężkie roboty poddani panom swoim robią, aza nie ciężkie podatki płać, że sami nieobózka plevy by świnie jedzą, a ziarna na czynsze, na sierpczyni, na pobory i inne podatki przedać muszą? — pytał retorycznie jeden z Braci.

W krótkim czasie po zadomowieniu się w Rakowie rozwinięli rzemiosło oraz przemysł drukarski i papierniczy, a także sukiennictwo. Na początku XVII w. miasto stało się faktycznym centrum organizacyjnym Braci Polskich, miejscem synodów i siedzibą głównej szkoły arińskiej, założonej prawdopodobnie w 1607 r. przez Jakuba Sienińskiego. Akademia rakowska była celem wędrowek studentów z wielu krajów Europy, podobno w latach trzydziestych zgromadziła w swych murach niemal 1000 słuchaczy, a jeśli nawet liczba ta nie odpowiada rzeczywistości, to przecież sporo mówi o dobrej sławie uczelni.

Mgr Tadeusz Bernat, nauczyciel obecnej szkoły rakowskiej, pracujący nad historią miejscowości, zauważa, że tu właśnie próbowano wcielić w życie ideały wspólnoty anabaptystów i komunistów morawskich. Sądzone, że Raków stanie się Nową Jerozolimą nowochrześcijan. Tu zebrał się

najwybitniejsi działacze ruchu, jak Grzegorz Paweł, Marcin Czechowicz, Joachim Stegman, Lubienieccy, Andrzej Wiszowaty oraz nator Braci Polskich, Hieronim Moskorzewski. Tłoczone w rakowskiej drukarni pisma arińskie, m. in. słynny „Katechizm Rakowski”, mieszczący credo ideowe Braci, docierały do najodleglejszych zakątków Europy.

Postępowe idee społeczne arian zaczęły w końcu bezpośrednio zagrażać interesom zarówno szlachty, jak i duchowieństwa katolickiego. Bracia Polscy stali się nie tylko niewygodni, ale niebezpieczni. Pod pretekstem obalenia przez młodzież arińską krzyża, stojącego za miastem, 19 kwietnia 1638 r. Sejm zatwierdził dekret, nakazujący likwidację zboru, Akademii i drukarni w Rakowie. To był koniec arińskiego ośrodka. 20 lat później Braci Polskich zmuszono do opuszczenia kraju.

Dzisiaj niewiele już śladów arińskich w kiełkującym Rakowie, wiosce liczącej ok. półtora tysiąca mieszkańców. Trzy niewielkie budynki. Narazy tak i placu — „papiernia”, „drukarnia”, „bursa” — na których stały niegdyś arińskie budowle. Legendy, za sprawą wielektiej kontrreformacji i jej dalekich w czasie przedzielen — na ogół kpiące, negatywne. Zadnego muzeum, pomnika, żadnego skromnego dowodu pamięci o ludziach, którzy głosili społeczną równość i prawdziwie głęboki humanizm. Pełniejsza, czasami wyjątkowo obszerna wiedza o ruchu Braci Polskich jest udziałem przede wszystkim miejscowego nauczycielstwa, z którego też rekrutują się osoby, pragnące przywrócić co nieco dawnego blasku „Sarmackich Aten”, obecnej siedzibie władz gromadzkich.

Przed wszystkim chodzi o sprawy komunalne i gospodarcze. W Rakowie nie ma wodociągów, kanalizacji i ulic o twardej nawierzchni. Dwie małe prywatne piekarnie są stale obłożone, a sklepy obskurne. Ośrodek zdrowia mieści się w dwóch wynajętych pokojach, nie posiada połączenia telefonicznego ze szpitalem powiatowym w Opatowie, a gabinet dentystyczny jest zamknięty, ponieważ brak mieszkańca odstrasza lekarzy. Obecna lokalizacja niewielkiego tartaku, na wydzierzawionej skarpie, nie pozwala na jego rozbudowę i modernizację.

Sami mieszkańcy Rakowa do biednych nie należą. Znani z pracowitości i życiowej smykalki, ze swoich piaszczystych poletek o średniej powierzchni nie przekraczającej 3 ha potrafią zebrać niemal tyle plonów, co właściciele urodzajnych gleb w pobliżu Opatowa. Uprawiają tytoń i rzepak, kartofle i żyto, solidnie karmiąc glebę nawozami. Ten i ów handluje nieszanami, nie zawsze będąc do tego uprawnionym, a że później wyrastają z nich buraki pastewne zamiat ćwikłowych, to podobno sprawa silnie nieczystych. Mają też profit z nielegalnego uboju żywca, choć to już nie te czasy, kiedy zarzynane wieprzki kwiczyły w co trzeciej obórze rakowskiej, a w okolicznych lasach niósł się fetor potężny od końskiej padliny, oprawionej ze skóry, którą handlowano z dużą korzyścią. Co bardziej przywiązani do tradycji oferują amatorom samogonu „winak mieszany z likierem na kościach”, aczkolwiek jego produkcja podobno się nie trudnia, jako że nade wszystko cenią sobie handelek, którego tajniki opanowywali skutecznie przez dziesięciolecia.

Z mieszkańców Rakowa rekrutują się też najczystszej w owolnych murarze, w że popył na ich umiejętności ogromny, to i były pomonka murarwi 120 zł dziwnie kase sobie płać. Inni, malarzy i krescy, najmują się latem do prac zrywnych, przy których od 40 do 50 zł za skoszenie mogą zarobić, a nlat nad głowa nie sterczy, nie pogania. Ostatnio jednak kawalerka ruszyła do pobliskiego Grzybowa, gdzie uruchomiono wielką kopalnię wapi: nawet ci rakowianie, co wcześniej w czasie w poszukiwaniu pracy wyjechali, wracają, aby nazyte na południu kwalifikacje zdobyte w rodzinnych stronach realizować. W Grzybowie placą dobrze.

W Rakowie nie istnieje problem nadwyżki rak do pracy, urealnisi się natomiast groźba całkowitego zastarzenia się ludności osady. Z kilkudziesięciu absolwentów miejscowej szkoły podstawowej tylko kilku zostaje w Rakowie. Ci, którzy kontynuują naukę w innych miastach, po jej ukończeniu z reguły nie wracają, bo praca na roli ich nie interesuje, a zresztą ziemi jest mało.

W Rakowie myślą więc o zakładzie przemysłowym, wdząc w nim przede wszystkim istotny czynnik miastotwórczy, który nie tylko ściagnie młodzież, ożywi osadę, ale i może przynieść z sobą jakieś inwestycje towarzyszące.

Starania rakowian o duży zakład mają już tradycję. Najdłużej, bo 12 lat, kołatają o nowy tartak o zatrudnieniu 250 osób, jak dotąd bezskutecznie. Ale przecież i w samym Rakowie nie wszyscy popierają tę koncepcję. Jeśli — argumentują — w obecnym tartaku pracuje 58 ludzi, w tym zaledwie 6 miejscowych, to skąd wytrzasnąć dalszych 200? A kopalnia w Grzybowie jest wciąż pod względem siły roboczej nie nasycona, choć oferuje zarobki znacznie wyższe niż w tartaku. Dowodem kolejnym — mówią — jednozmiennowa betoniernia rakowska, która, biorąc pod uwagę zapotrzebowanie na materiały budowlane, mogłaby pracować na dwie zmiany, ale z braku robotników nie może.

Interesująco przy tym przedstawia się koncepcja Mirosława Kowalka, nauczyciela szkoły rakowskiej i publicysty, często zabierającego głos w sprawach osady na łamach kieleckiego „Słowa Ludu”. Przyszłość Rakowa wiąże on z mającym powstać w okolicach zalewem o powierzchni 800 ha, który przekształcił graniczącą z sobą część powiatów staszowskiego i opatowskiego w jeden z najpiękniejszych w kraju ośrodków turystyki wodnej. „Pomyślmy więc lepiej o zapleczu dla ruchu turystycznego i wczasowego, bo to nieszna szansa rozwojowa” — mówi M. Kowalk.

Nie znając dogłębnie wszystkich uwarunkowań problematyki gospodarczej Rakowa i powiatu, trudno ferować odpowiedzialne i jednoznaczne opinie. Wydaje się jednak, że myślenie M. Kowalka ma bardziej realną przyszłość od innych rakowskich postulatów.

W październiku Raków obchodzi 400-lecie istnienia. Społeczny komitet obchodów tej rocznicy, kierowany przez T. Bernata i skupiający miejscowy aktyw, zdolał rozrzucać dość egoistycznie nastawioną do niedawna społeczeństwo osady, czego dowodem rosnący udział jej obywateli w czynności społecznych. Powoli Raków zmienia swoje oblicze. Przystąpiono już do przebudowy rynku, którego ulice otrzymały asfaltową nawierzchnię, planuje się wodociąg i kanalizację, otynkowane i wymalowane otaczające rynek domki. Już też obywatel rakowski wielki granitowy głaz na skraj centralnego brzości ściągł, aby w odpowiednim czasie przetoczyć kilkotonową bryłę w bardziej eksponowane miejsce, może obok zagajnika, parkiem zwanego, który niegdyś „sposobem” i wbrew oporom niektórych mieszkańców Edward Skotnicki za czasów swojej kadencji w Prezydium GHN założył. Stary napis na różowej opoocy świadczy i przypominał będzie, że Raków liczy już lat 400. Wspominają „komitet obchodów” przekształcał się następnie w „komitet budowy ośrodka zdrowia”, o czym marzy doktor Władysław Lukawski, absolwent lubelskiej Akademii Medycznej, który nie przestraszył się prowincji i od 4 lat mieszka kątem w Rakowie, lecząc jego mieszkańców.

Być może dojdzie nawet do tego, że w poariańskim budyneczku z pięknym sklepieniem kolebkowym, w którym nie wiadomo dlaczego mieści się obecnie waula kawiarnia, znajdzie kiedyś siedzibę muzeum historyczne arińskiego Rakowa. Ekspozyty i dokumenty już są. Potrzeba odwagi, wyobraźni i trochę pieniędzy.

W RZESZOWSKICH RAMACH

Ireneusz J. Kamiński

DO wystawy malarstwa, grafiki i rzeźby okręgu rzeszowskiego, prezentowanej we wrześniu w salach lubelskiego BWA, nie można mieć żadnych zastrzeżeń. Na tej samej zasadzie, która nie pozwala winić kogoo za to, że jest dobrze ułożony, poprawny w tzw. stosunkach międzyludzkich, nie narzucający się, słowem kulturalny. Wrażenia, jakie dostarcza plastyka rzeszowska, można też porównać do odczuć pasażera dalekobieżnego ekspresu, który wysiadł na małej, prowincjonalnej stacji i po uszy pograżył się w błękitnej ciszy, leniwie spływającej po rozległych łakach.

Para kilkoma wyjątkami, które należy jednak rozpatrywać w kategoriach indywidualnych doświadczeń reprezentacyjnych ze twórców, a nie w płaszczyźnie obiektywnej sztuki współczesnej, plastyka pokazana w BWA dowodzi, że rzeszowianie nie lubią jakiegokolwiek ryzyka artystycznego. W taki czy inny sposób, mniej lub bardziej udany trawia skonwencjonalizowane metody obrazowania, odwołując się nieraz do koloryzmu, w róż-

nych jego wersjach, także uwnószeniowych, choćby na modie Dominika. Poza tym przywołują symbolizm, namiastki surrealizmu i ostrośnie sięgają do figuracji, która w ich — dobie — dość wyraźnie odsłania swoją postimpresjonistyczną podszewkę. Darujemy sobie jednak dalsze, w końcu niewiele mówiące, sznufadkowanie. Istotne, że mamy do czynienia z plastyką, której autorem zdaje się wystarczać samo np. malowanie, bez świadomości jego głębszych, ideowych rzezi. W taki sposób latami można uprawiać plastykowanie, bez obawy narazenia się komuś czy czemuś, bez obawy utracenia statusu wojewódzkiego artysty, który porażki utęsamia z nieobecnością swego nazwiska na liście oficjalnie nagrodzonych i hołubionych.

Kilka słów o wspomnianych wyjątkach. A więc Alfred Kud. Nie tak dawno jeszcze wierzył konuator surrealizmu, dokładnie mający bezkresne posiadki, z których wylinały się równie monumentalne podesty, do nikąd, albo do wieczności prowadzące schody, dźwigające dorodne ciała kobiet. Malarstwo tak czy inaczej już histo-

ryczne, z wyjąłowym dzieł zapieczęm filozoficznym. To, co Kud pokazał w Lublinie, jest generalnym odwrótem artystycznym od dotychczasowych koncepcji. Jest dowodem samowolności twórczej i ogromnej odwagi, próba wejścia we współczesność nie tylko plastyczną. Ta próba zdaje się otwierać w kierunku nowej figuracji, ale to reżenzenie orientowanie nowego działania artysty nie jest najistotniejsze. Ważne jest owe rzywko, które na osobisty rachunek podjął Kud.

Natomiast Zuzanna Kusel — Kud oczyszcza malarstwo, zainicjuowane przez nią przed laty. Jak wówczas wyrażało modeluje konstrukcje obrazu, goźli podziły horyzontalne z wertykalnymi, delikatnie rozprówadza ścisłość i lekkie kolory. Ale polawili się też w jej twórczości zupełnie nowe elementy, zarówno wyrazowe, jak i formalne. Zniknęła dekoracyjność płócier i towarzyszący jej, nieco niefrasobliwy, nastrój. Jej obrazy, r fragmenty świata zatrzymane w wyobraźni w jakimś nostalgicznym nelym smutnej refleksji odczuchu. Pejzaże utracili swoją naturalną przestrzenność, jakby ogromny

kataklizm wyrzucił horyzont na przeszcium, niszczył trzeci wymiar. Nie przypadkowo padło tu słowo z teatralnego słownika. Malarstwo Z. Kusel — Kud przypomina bowiem projekty scenograficzne do spektaklu, który się jednak — mamy takie wrażenie — już odbył, albo się nigdy nie realizuje.

Kolejną postacią wystawy jest niewątpliwie Bożena Kórka, autorka dramatycznych grafik, bliskich tym tendencjom, które przenikają najmłodszą plastykę polska. A więc figuracje metaforyczne i symboliczne, okrutna w swojej narracji tematycznej, warsztatowa bez zartu. Napiecie emocjonalne buduje B. Kórka nie tylko za pomocą ekspresjonistycznej deformacji postaci, ale w „słowny” stopniu — odwołując się szeregowanie światła i cienia oraz nawastwanie nerwowych kresek.

Kłodyś działala w Rzeszowie „Grupa 11”, która odważa, uporem i ciężką robotą zrobiła z miasta kalkiem przyzwoity ośrodek plastyczny. Potem przyszły lata dłuści. Dziś Rzeszów posiada piękna saje wystawowa w „Domu Sztuki”. Ale twórczy plastyków liczy się tam na sztuki.

AZATEM postanowiłem, że w roku 1925 zrealizuję wymarzoną wycieczkę do Włoch. Dość rozczytania się w przewodnikach i entuzjastycznych relacjach różnych autorów z podróży po Italii.

Trzeba więc rozpocząć przygotowania. Najpierw powiększyć gromadzony od stycznia fundusz wycieczkowy, a potem opanować jako tako, choćby najskromniej, język włoski. Uczyłem w dwóch szkołach, miałem parę lekcji prywatnych, trochę dochodów literackich, oszczędzałem — mogłem więc liczyć, że do wakacji kilkakset złotych uzbieram. Włoskiego zaczął mi udzielać kolega z Gimnazjum Żydowskiego — trochę poliglota — Lieber. Brał dość drogo za godzinę, ale niespodziewanie znalazł się drugi amator pięknej mowy Dantego, wypadło więc o połowę taniej. Przychodziliśmy tedy dwa razy na tydzień do skromnego pokójku Liebera, który jako podreceptykiem posługiwał się na razie niemiecką książeczką z serii Metula — Sprachführer Leigensheidta. Wkrótce jednak zdobyliśmy świetną książkę Gianniniego „Come s'impara italiano”, dzięki której stopniowo opanowywaliśmy podstawy gramatyki i pewien zapas słówek. Mogłem już czytać łatwiejsze teksty. Ponieważ kolega po kilku tygodniach się rozmyślił i pożegnał z włoszczyzną, a samemu nie chciało mi się wydawać teraz na tę naukę dwakroć więcej pieniędzy, przez pozostałe miesiące uczyłem się już bez pomocy Liebera.

W którejś z gazet, chyba w „Ikacu”, znalazłem ogłoszenie Biura Podróży Italia o zorganizowanej przez nie z okazji Anno Santo drugiej polskiej pielgrzymki, tym razem wakacyjnej, do Rzymu. Podróż przewidywała zwiedzenie paru większych miast włoskich. Cena wycieczki wcale nie była wygórowana i przy korzystaniu w podróży z II klasy wynosiła 400 zł, a więc całkowicie odpowiadała moim możliwościom, nawet jeśli dodać do tego sto złotych na osobiste wydatki. No, ale

Samotnie we Włoszech (I)

Zacząłem od Wenecji

Kazimierz Andrzej Jaworski

najważniejsza była możliwość otrzymania ulgowego paszportu w cenie 20 zł, gdy normalnie kosztował on — nie pamiętam dokładnie ile — ale coś około 250 zł.

Nie było mi jednak sążone stać się pątnikiem. Termin wyjazdu pielgrzymki z jakimś tam względów został przesunięty o dwa tygodnie. Wykorzystałem tę okoliczność motywując, że podróż w sierpniu przekreśliłaby moje dalsze plany wakacyjne, muszę się więc wycofać z udziału w pielgrzymce i poprosić o zwrot zadatku. Tak też się stało. Posiadać ulgowego paszportu zaopatrzonego w odpowiednią wizę i 700 zł w walucie polskiej, austriackiej i włoskiej przede wszystkim wyjechał 19 lipca z Warszawy, rozpoczynając samotnie wymarzoną podróż.

Jechał się po studencku, trzecią klasą — aby tylko zaoszczędzić.

Nazajutrz rano przybyłem do Wiednia — na Dworzec Północny. Pośpieszny do Wenecji odchodził z Südbahnhofu za dobrych dziesięć godzin. Miałem więc dość czasu na spacer po centrum miasta. Kościół św. Stefana, Kärtnerstrasse, wystawy sklepowe, księgarnie. Po obiedzie włożyłem się po Praterze. Na Schönbrunn już nie starczyło czasu. Pojechałem na dworzec, odebrałem walizkę z przechowalni i wkrótce już siedziałem w wagonie.

Niestety, było ciemno i nie widziałem Semmeringu. A tyle styszałem o malowniczych widokach na podnóża Alp. Usiadłem możliwie najwygodniej w kącie przedziału i zacząłem drzeć. Nad ranem oknałem się nagle z powodu przejmującego chłodu. Co

u licha, przecież to 21 lipca, a w Wiedniu było tak gorąco! Rzut oka przez okno odsłonił mi tajemnicę: pociąg jechał brzegiem dużego górskiego jeziora, mgły unosiły się nad otaczającymi je szczytami. Świerki i koso-drzewina. Przypominało to znajome obrazy trzazzańskie i ostry klimat Zakopanego, ale Werthersee było wielokroć większe od Morskiego Oka. A potem zobaczyłem duże miasto: Klagenfurt — Celowiec. Przypomniała mi się historia Bolesława Śmiałego, który podobno gdzieś w tych stronach, w miasteczku Feldkirchen, zmarł na wygnaniu. Kraj obraz stawał się coraz bardziej dziki, wjeżdżaliśmy w góry, mostami przeskakivaliśmy parowy, nurkowaliśmy w tunele, wzdłuż toru kolejowego toczyły się spienione strumienie, kolor wody miejscami do złudzenia przypominał barwę trzazzańskich potoków, a lasy świerkowe dopełniały iluzji. Tak się chęlało, by pociąg zatrzymał się na chwilę u stóp tych skal urwistych, by człowiek mógł przysiąść nad brzegiem belkotliwego potoku. Tak, to znajome mi tylko z fotografii, a teraz poznawane jedynie z odcien wagonu — Alpy. Wreszcie granicze Tarvisio, wspaniały widok na jakis odnieziony szczyt podobny do Lomnicy i pociąg przedarłszy się przez nieskończoną liczbę tunejli wpada do słonecznej Lombardii. Osiągnęła mnie tysiącem barw, jarzącym światłem myśli: Italia. Długoletnie marzenia narazie przyoblekają kształty. I jednocześnie niepokojące pytanie: czy Italia moich snów nie okazała się piękniejsza od Włoch prawdziwych — słowem, czy nie zbliżenie na tej realizacji?

Obawy moje okazały się jednak ponne. Gdy przed oczami moimi wykwitła Wenecja, gdy schodząc ze stopni dworca kolejowego zamiast dziedzińca ujrzałem wodę kanału, a miast samochołów i tramwajów sunące po niej gondole i male stateczki, gdy zobaczyłem po obu brzegach ciągnące się w dal wspaniałe pałace, zrozumiałem czemu to Włochy zostawiają takie niezatarte wrażenie, czemu Goethe czuł się tu najlepiej, czemu artyści wszystkich krajów pielgrzymują do tej skarbnicy piękna.

Ulokowałem się w przydworcowym hotelu „Union”, zjadłem szybko śniadanie i już waporetto, ten wodny tramwaj wenecji, niósł mnie przez niezbyt czysty Canal Grande. Wszystko wydawało mi się nierzeczywiste: i te ciche, zadumane nad swą przeszłością budowle, te rywalizujące swą urodą, jedne od drugich piękniejsze pałace z koronkowymi G d'Oro na czele, ten most Rialto i to wybrzeże — Riva degli Schiavoni, gdzie wysiadłem kierując się przez Piazzettę na Plac św. Marka. I gdy spocząwszy przy stoliku w oczekiwaniu na filiżankę czarnej kawy usmiechałem się do stada gołębi karmionych przez turystów, a potem zapatrzyłem we fronton znanej mi z tyłu reprodukcji bazyliki, w Kampanię i część Pałacu Dożów i urzeczonego, pełen zachwytu nie mogłem się od tego widoku oderwać, chcąc sprawdzić, że widzę to wszystko w istocie (co za reakcja dziecienna, ale pamiętam ją doskonale), zacząłem szczytać i drapać ręce na dowód, że nie śnię. Czulem ból, a więc to prawda.

Pisać o Wenecji? Po raz tysięczny powtarzać komuny o kościolach, pałacach i murzech, o niezwykłości tego miasta, o niepowtarzalnym jego uroku? Nie, oczywiście czynić tego nie należy. Mnóstwo już osób opisało to lepiej, niż ja bym potrafił. Goethe, Odyneć w swych listach, Taine, Sienkiewicz — że wymienię tu choćby tych parę nazwisk. Chcę tylko wspomnieć o wrażeniach najupełniej osobliwych. Sądzę bowiem, że każdy opuszczając ten kraj, zostawia w swej pamięci Italię własną, nieraz różniącą się bar-

Srebrne gody Ludowej Bułgarii



JEST jedną z tych osób, które cieszą się popularnością. Myślę, że odpowiada powszechnemu wyobrażeniu o poecie. Spiewak, wesołego nastroju, optymistą, „cygan”, wszystko to łączy jego barwna sylwetka. Jeździ do wielu zakątków Bułgarii. Znaję go drwale z Rilj, plantatorzy winorośli nad Dunaju, rybacy z Szopola. Każdy z nich mógłby opowiedzieć ciekawą historię, która mu się z nim przydarzyła. Z Lamarem! Jego imię i nazwisko — Laliu Marinow, dawno

czasie wojny o wyzwolenie zostaje sławą grupę pisarzy, którzy idą na front. Owocem jego jednorocznego udziału w wojnie są poematy „Wachód — Zachód” i „Gieru Gierinow”.

Poezja Lamara po 9 września 1944 r. opiewa budownictwo socjalistyczne, walkę o pokój, radości i trudny ludzi pracy (zbiór wierszy „Las opiekun” i poemat o rzece Maricy, który odznaczono Nagrodą Dymitrowską).

Rok temu z okazji siedemdziesiątej rocznicy jego urodzin wyszły

drogowskiej gospoście. Ma stałe przywiązanie. Pił z książką „Dimitar”, który iskrzył się w jego dłoni. Ten sam od lat. Umiechnięty, o bujnej białej czuprynie, z czarnymi kruczastymi brzoiami i niezmienną muszką, która przystała na jego koszt. „Przyroda jest moja największą miłością. Ta druga już się zestarzała” — żartuje. Przyroda jest na stałe związana z jego mentalnością. Ona daje mu poczucie świeżości, przeczuje letniej burzy, pioruna spadającego na górkę drószkę, światłości żródełka.

Rozmowę naszą przerywa powitańskie z nowo przybyłymi, żarciki i żarteczki, które wymieniają między sobą. Wraz z miłością do przyrody ma on zrozumienie zwykłego człowieka z jego małymi radościami, rozwodzeniami i smutkiem. Zna jego duszę, potrafi wyszukać w niej to, co najcenniejsze.

Radio, które gra głośno, przerywa nadawanie muzyki i rozpoczyna się audycja poetycka. Lamar słucha uważnie i mówi: „Obecnie u nas pisze wiersze co najmniej 2000 osób. Z nich, co daje łożę, wyróżnie ze dwudziestu dobrych poetów, pozostali zdobywają tylko pewną kulturę i dają pewien wkład dla kultury narodowej”. I znów zasłuchany kontynuuje: „Nie mam nic przeciwko poezji intelektualizowanej, ponieważ jest ona związana z pozytywnymi zjawiskami życia. Ja zawsze burzyłem stare słownictwo, walczyłem przeciwko klasycznemu formom poezji i języka. Oczywiście nie wszędzie sukcesy są jednakowe.

Poeta i przyroda

zostały zapomniane. Pseudonim jest krótszy i bardziej dźwięczny. Tak nazywają go też w jego rodzinnej wsi. Kaleica, ukrytej w Bałkanie Trojańskim.

Wiele lat upłynęło od czasu, gdy umiechnięty, kędzierzawy chłopiec opuścił rodzinną wieś, aby szukać szczęścia na trudnej i nieznanym drodze poezji. Jego twórczość niesie ze sobą technicznie Bałkanu, szczerze odczucie piękna przyrody i zrozumienia zwykłych ludzi, marzenie o wolnym i równouprawnionym świecie.

Droga jego życia i poezji jest kręta. Był drukarzem, sam składał swoje wiersze do pierwszego zbiorku liryków. Pracował z poetą Geo Milewem, entuzjastował się futuryzmem, lecz zawsze zwyciężało odczucie własnego pochodzenia. Jego pierwsze książki charakteryzują się duchem buntu, protestem przeciwko kapitalizmowi, przeciwko krzywdzie. Z tego okresu najbardziej znany jest poemat „Spokojne, niespokojne lata” — utrzymany w stylu ludowym.

Jego duch i temperament mieszkańca gór wymagają mocnych dźwięków, nie słów, lecz czynu. Dlatego w

dwie tomy utworów zebranych. Lamar wydał również powieść „Widno jest i o północy”, która zdobyła wielką popularność. „Przeniknięcie” to ostatni jego zbiorek. Wiersze te przepełnione są mądrością lat, atmosferą głęboko poetycką, pięknym językiem ludowym.

Lata nie zdołały zmienić Lamara. Pozostał zawsze ten sam, skromny, oddany ludziom, wieczny optymistą. Lubi żartować z tego, że tytuły mu ciężko, że woli plecak i wycieczki w bułgarskie góry. Lamar jest dwukrotnym laureatem Nagrody Dymitrowskiej, Ludowym Działaczem Kultury, Bohaterem Pracy Socjalistycznej. W domu ma wiele nagród, odznaczeń, wyróżnień, medali, które otrzymywał w ciągu lat.

Pewnego wieczoru miałam z nim umówione spotkanie. Mieszka w willowej dzielnicy Sofii, w Dragolewi. Od wielu lat przebywa tam, aby być bliżej ludzi, zapachu koszonych łąk, szumu rzeki i śpiewu ptaków. Co wieczór wypija swoją butelkę wina „Dimitar” wraz z tymi, którzy wracają z pola.

Był zachód i pola ucichły. Czekal na mnie przy stoliku w malej

Pyrwoleta Prokopowa

Każda rewolucja rozpoczyna się buntem, lecz wymaga wielu ofiar”.

Już zmrok. Muzyka Czajkowskiego tworzą nastroj, w którym jest wiele czułości i błękitu. Rysy twarzy Lamara miękną. Umiechnięty kontynuuje: „W rozwoju muzyki jest wiele osiągnięć, które są niepowtarzalne. Na przykład Czajkowski. Lecz tak jest i w malarstwie, w literaturze. Nowa poezja musi się zmierzyć ze wszystkimi dotychczasowymi osiągnięciami. Jeśli zdoła stworzyć więcej wyrazu, mądrości, więcej wartości moralnych, prześcignie to, co było stworzone dotychczas”.

Wachodzi książkę. Cicho jest przy stolach. Jeden z mężczyzn zaczyna śpiewać. „Dosyć tej literackiej gadaniny. Na zdrowie! — mówi Lamar — dla mnie przyroda to największy twórca. Pójdę znów w góry. Są one zieloną różnorodnością, która niweczy nudę równiny”.

Wiatr porusza drzewkami czeresni. Była już późna pora, gdy Lamar odchodził i stał pisać przy swojej małej maszynie. Lubi pisać tylko nocą. Zwierył mi się, że pisze nowe wiersze i powieść. Wstajemy. W ciemnościach widać tylko jego białe włosy, które wskazują mi drogę.

Petar Karaangow Małe miasta

Nie ogradzane nigdy ciężkim obronnym murem, jak powój wyrastały na równinach i górach... Miasta o małych cerkwiach i ogromnych gimnazjach, z pszymi haftami chustek za drzwiami i grypsami!

Wy — wiosenne, jesienne, wy — letnie i zimowe, rodzone kolebki pieśni, chleba i win domowych.

Wasze niskie pagórki bżem obrósł kwitnącym. Idę... i znowu staję na waszych ulicach łaniących. Czytam ich drogie nazwy cyrylicą znaczone i po gwoździu zostawiam moich butów znoszonych. Aż do pasa mi przyka złotym dźwięków ruczajem jeden pęk promienisty waszych kluczy prastarych.

Niby ptak mnie mamicie waszą sosnową strzechą, uliczkami z kamieni, gdzie odbija się echo, z wiązami, z szumem rzeki, z przystanków, dworców gwarem... Moje zwykle, lecz wieczne małe miasta Bułgarii.

Parwan Stefanow

Woda

Woda istnieć ma zwyczaj u dołu w kwiecie, w trawie, w krągłym słoneczniku. Lecz gdy się zatrzyma na wierzchołku, gubi puls, w łód zmienia się w wyniku. I tam już istnieje trzysta wieków pośród blasku i w wieczystych chłodach.

A nauka twierdzi, że w człowieku osiemdziesiąt procent to jest woda.

Dora Gabe

Uniesienie

Odkąd się urodziłam, wszystkich pokoleń rówieśniczką jestem. Dwóch epok chwytalam powietrze i takie długie były dni i lata, że mi się zdaje, iż nieśmiertelną się stalam... A czas, zmieniony w wieczność, przestrzeń — w nieskończony świat, niosą mnie, i płynę szczęśliwa, że nie wiem, ku jakiemu brzegowi mnie zaniosą.

Tłumaczył z bułgarskiego
Tadeusz Ross

dzo od obrazu utrwalonego w myślach innych ludzi.

Słońce jak rozżarzoną kulą bilardową toczy się po błękitnym suknie nieba. Upał nie do wytrzymania. Ale włosi mają mnóstwo napojów orzeźwiających. Oprócz pocziwej naszej wody sodowej, piwa i lemoniady — obfitość pysznych lodów sprzedawanych tu za beczek, świetne kokosowe mleko, oranżadę, tzw. granite, tj. lód tłuczony zaprawiony jakąś słodką esencją, słowem do wyboru i koloru!

Za to wieczorem jest przyjemniej. Toteż całe miasto wylega na Plac św. Marka, które wygląda jak olbrzymia sala z jedynym w swoim rodzaju sufitem — czarna kapą nieba z błyszczącymi guzami gwiazd. Do północy odbywa się ta promenada. W obu dawnych prokuratorach kawiarnie przepelnione, gra muzyka, wszystkie stoliki zajęte. A środkiem placu snują się tysiące cudzoziemców, rozbrzmiewa wielojęzyczny gwar, istna wieża Babel. I polski język nieraz samotny turysta z Chelma słyszy. Najbardziej mnie śmieszyło, kiedy jacyś rodacy, nie przypuszczając, że stojący obok młody człowiek nie jest cudzoziemcem, puszczały wodze w swoim niezbyt parlamentarnym zwrotem i nie zawsze kulturalnym spostrzeżeniu. Ale udawałem Greka.

Byłem w Wenecji i w kinie. Przecież Harold Lloyd, ulubiony komik, był moim jedynym znajomym z Polski, jakiego tu spotkałem. Obrazy wyświetla się pod gołym niebem, po kinie następuje część kabaretowa. Podziwiałem zachowanie się publiczności, która podchwytowała melodie piosenki i potem śpiewała ją razem z artystą. A później tę samą piosenkę słyszałem śpiewaną chórem na ulicy.

Zywa natura południowa nie zna hamulców. Zarzucałem to w operze na „Cyrylika Sewilskim”. Oklaskują każdą arie zmuszając nawet śpiewaków do bisowania. Zresztą opera nie cieszy się tu zbyt dużą frekwencją, może tylko latem, ale uczęszczają do niej sami znawcy i miłośnicy śpiewu, którzy potem w antrakcie z zapalem pogwizdują lub nucą ulubioną arie.

Ciekawe są ulice w Wenecji. Mniema się, że to miasto położone na wyspach ma tylko kanały. Nieprawda! Są ulice, raczej uliczki, nieraz tak wąskie, że wyciągnąwszy ręce można dotknąć domów stojących po przeciwnych stronach. A charakterystyczną cechą ich jest wyłącznie ruch pieszy. Nie widziałem tu żadnego konia, ani jednego roweru. Przepraszam, nad środkową arkadą bazyliki św. Marka widnieją cztery rzymskie pozłocane rumaki z brązu. To one właśnie jako łup wojenny, na krótko zresztą, zostały wywiezione do Paryża. Bolesnie przeżywał scenę spuszczenia ich z nad portalu księżę Gintult w „Popiolach”.

Z Wenecji parokrotnie wyjeżdżałem nad morze. Małe stateczki parowe kursujące pomiędzy stacją a Lido przewożą tysiące osób żądnych orzeźwiających kąpiel w Adriatyku. Prócz tego kursują od Riva degli Schiavoni większe statki. Na plaży — a jaka wspaniała tu drobniutki biały piasek — znów gwar wielojęzyczny, dużo śmiechu i stońca. Morze ma barwę zieloną — to zielonkawo, to błękitno. A woda o wiele cieplejsza niż w Bałtyku.

Wenecja i Lido to były dwie forpoczty włoskie, które od razu podbiły moje serce dla Italii. Nie mogłem jednak pozostać dłużej, mając wyznaczoną marszrutę. Zanuram jednak ruszyłem do Florencji, wpadłem jeszcze na kilka godzin do pobliskiej Padwy. Wszak przez Padwę, przez jej sędziwą waszechnicę „Il Bo”, przewinęło się tylu Polaków. Była dla nas ogniskiem oświaty, dopóki nie stworzyliśmy własnego, lecz i później, w latach upadku Akademii Krakowskiej, kształciliśmy się w tej uczelni.

Stare poważne mury od strony wewnętrznej — dziedzińca pod pięknymi arkadami Sorsorina — pokryte są freskami herbów wybitniejszych wychowanków waszechnicy. Odnalazłem kilka polskich: Mikołaj z Tęczyna, Dobrzyński, Ossoliński, Andrzej Naruszewicz, Weychert i wielu innych. Obejrzałem i wspaniałą aulę „magna” używaną jedynie podczas większych uroczystości — i tam na ścianach mnóstwo herbów i wiele z napisem „Polonus”.

Tutaj uczyli się Kopernik, Zamojski i Sobieski. Wśród tych murów przechadzał się młodzieńki żak z Czarnolasu, który później miał się stać największym poetą Polski przedrozbiorowej. Myśli te natrętnie przesładowały mnie tak, że tu, we Włoszech, obcowalem węż z polską przeszłością. O tym tak mówilem w wierszu:

...O Padwie młodziemu muszę, pisać nie nie mogę: tam wśród murów waszechnicy cień mi zaszedł drogę. I już nie bazylika — czarnoleska strzechą, już nie cyprys młilejący, lipa się umiechnie. I za Janem powtarzam w słonecznej kurawie: Słońce pali, a ziemia lidzie w popiół prawie.

Droga do Florencji jest nadzwyczaj malownicza. Cały czas wśród gór apenińskich. Tunele i tunele. Ale upał nie do wytrzymania i różne „gelati” i „gazose” nie pomagają. Wreszcie kolo jedenastej wieczorem — Florencja.

Słusznie włosi obdarzyli to miasto epitetem la bella. Pisać o jego wspaniałych zabytkach, o trój kolorowych (narodowych) marmurach katedry, o odrzawach Baptistarium, Galerii Uffizi i Loggia del Lanzi można by całe tomy. Cień Danta czyha tu zza każdego węgla domu i przemawia do nas werwetami z „Boskiej komedii”, umieszczonymi na marmurowych tablicach. Miasto całe jakby zadumane w sobie, tonie w kwitnących ogrodach, pełnych drzew oleandrowych o ślicznych różowych i białych kwiatach. Otaczają je smętne wzgórza toskańskie, liliowiejące w dali.

Widok, jaki się otworzył przed moimi oczami z Piazzale Michelangelo, pozostanie na zawsze w mej pamięci. Było rozpalone południe. Plac cały, położony już za miastem, był aż biały od blasku słońca, które oślepiło każąc mrużyć oczy. Schroniwszy się pod jakiś cyprys, gdzie było nieco cienia, patrzyłem na miasto. Leżało u stóp mych, pełne wież i kopuł łaniących w słońcu. Górowała nad nim olbrzymia bania katedry. Mięta Arno żółta wstęgą opasywała Florencję. Dalej mnóstwo ogrodów w przepychu cyprysów, pinii, platanów i oleandrow, jeszcze dalej fioleto lagodnych wzgórz apenińskich.

Odwiedziłem oczywiście Panteon florencki — kościół Santa Croce. Kojarzy mi się on z zabawnym, choć żenującym incydentem, jaki mi się zdarzył w drodze do niego. Nie mogąc znaleźć ulicy prowadzącej do tej świątyni, zapytałem o nią jakiegoś waszechnicę. Był tak uprzejmy, że zaoferował się doprowadzić mnie do kościoła. Przyszczalcem się już do tego, że we Włoszech na każdym kroku czyha na cudzoziemców cicerone napraszający się ze swymi usługami; byłem więc przekonany, że jegomość pragnie sobie lira zarobić. Doszedłszy na miejsce podziękowałem mu grzecznie, poparłszy swoją wdzięczność monetą, którą chciałem wsunąć mu do ręki. Jakież mi się zrobiło nieprzyjemnie, gdy pan ów z oburzeniem odrącił pieniądź, z godnością podkreślając: — Signore, io sono dottore, io sono medico. Zawstydzony przeprosiłem go najuprzejmiej, ale któż mógł taki casus przewidzieć...

Odyniec w liście do Korsaka wspomina, że gdy dojeżdżając z Mickiewiczem do Rzymu ujrzał z dala kopułę św. Piotra, Adam zdjął czapkę przed tą „tłarą świata”, jak nazwał banię bazyliki i Odyńcowi kazal to samo uczynić. Tak witali z dala wieczne miasto, od tego miejsca idąc już pieszko. A później zacerpnawszy w manierkę wody z Tybru wychylił toast na cześć Willi i Niema.

Niestety, nie mogę powiedzieć, bym w podobnym nastroju wizał stolicę chrześcijaństwa. Minęły już bezpowrotnie te romantyczne czasy, kiedy podróz odbywało się dylżansem, z którego można było, niefrasobliwie posuwając się naprzód, obserwować dokładnie okolice. Dzisiejszy turysta rozparczy się w wygodnym ekspresie poryka kilometr za kilometr, jest dziesięciokrotnie prędzej u celu, lecz z krajem, przez który przejeżdża, poznaje się bardzo pobieżnie. Dojeżdżając około północy do Rzymu i widząc przez okna wagonu tysiące światel, nie czułem nic więcej ponad to, że się zbliżam do stolicy.

(Dokończenie nastąpi)

Dzieje obozu na Majdanku

Z inicjatywy naczelnych władz SS jesienią 1941 roku założono w Lublinie, na obszarze 270 ha, obóz koncentracyjny Majdanek. Miał on być centralnym obozem dla Generalnego Gubernatorstwa. Cechą charakterystyczną obozu na Majdanku była jego systematyczna rozbudowa. Zgodnie z planami miał on być przeznaczony dla 250 tysięcy więźniów. W latach 1941-1944 zrealizowano około 20 proc. zamierzonych projektów. Wybudowano w tym czasie sześć pól więziennych, w których jednorazowo można było pomieścić około 50 tysięcy więźniów.

Jesienią 1941 roku przywieziono na Majdanek pierwsze transporty więźniów, początkowo jeńców radzieckich, później Polaków, Żydów i osób innych narodowości. W okresie funkcjonowania obozu więźni w nim byli obywateli 27 państw.

Nieludzkie warunki życia, tortury i szykany, egzekucje i gazowanie złożyły się na to, że w obozie straciło życie około 360 000 osób. Najwięcej więźniów znalazło śmierć w komorach gazowych. Ślady tej zbrodniczej działalności zacieraano przede wszystkim poprzez spalanie zwłok w krematorium.

Obozy hitlerowskie poza działalnością eksterminacyjną spełniały jeszcze inny cel. Na skutek grabieży mienia więźniów i ich niewolniczej pracy przynosiły one poważne dochody III Rzeszy.

Dzięki różnego rodzaju formom samoobrony, ruchowi oporu i pomocy, jaka więźniowie otrzymywali od społeczeństwa Lubelszczyzny, wielu spośród osadzonych na Majdanku przetrwało gehennę obozową.

Do likwidacji obozu przystąpiono wiosną 1944 roku w związku z sytuacją na froncie wschodnim. Więźniów zaczęto przewozić do obozów położonych na terenie Niemiec. Ostatni transport więźniów wyprowadzono z Majdanka 22 lipca 1944 roku. Tych, którzy pozostali w obozie, około 1500 więźniów, wywoziła Armia Radziecka 23 lipca 1944 roku.



Więźniowie przy pracy. (Zdjęcie z Archiwum Państwowego Muzeum na Majdanku).

Relacje tych, którzy przeżyli...

Stanisław Chwiejczak

Thumann i psy

Szczególnie upamiętniła mi się osoba Obersturmbannführera Antona Thumanna. Był on wśród grupy SS-manów największym sprawcą, osobą wyjątkową i niepowtarzalną. Był szczupłym, ale dobrze zbudowanym mężczyzną, wzrostu około 180 cm, o sprężystych, wysportowanych ruchach i regularnych rysach twarzy. W czapce — a tylko tak go widziałem — twarz jego robiła wrażenie raczej okrągłej, smagłej z dość gęstym ciemnym zarostem i lekko orlim nosem (...)

(...) Nosił się elegancko, mundur leżał na nim jak ulany. Chodził zawsze w rekawiczkach i czy to pieszo, na motocyklu, czy też na koniu prezentował się bardzo dobrze. Na apele obozowe przychodził najczęściej pieszo ze swoim psem Borysem i solidnym pejszem, albo spriczutą. Po wszystkich Lagerstrasse jeździł zwykle motocyklem, a po rozległych polach, na których pracowali więźniowie, na koniu. Pies towarzyszył mu prawie zawsze. W wyjazdach konnych miał przy sobie nieodstępnie lornetkę, przez którą obserwował z różnymi odległymi punktów swój „zakład”, a w wypadku zauważenia jakiegoś nieprawidłowości zjawiał się natychmiast i osobiście interweniował.

Interwencje te z reguły były straszne, bo Thumann należał do tej grupy dygnitarzy III Rzeszy, którzy nie tylko wydawali rozkazy, ale działali także osobiście. Najczęściej po prostu koniem na więźnia, lal go pejszem, a wyresowany w tym kierunku Borys szarpał ciało biedaka, wyrzucając kawałki mięsa. Oczywiście spotkania takie kończyły się zawsze co najmniej rewirem, a wśród więźniów wprowadzało psychozę niesamowitego strachu.

Jeśli Thumann uznał, że całe komando źle pracuje, to przywoływał sobie do pomocy mniejszych rangą lotrów i doraźnie zarządzał karną pracą, sam jej dopilnowując i sam egzekwując zwiększenie wysiłku, bijąc każdego, kto nawinął mu się pod rękę. Jeśli był niezadowolony z pracy całego komanda, nie oszczędzał także kapo, odpowiedzialnego za jego pracę.

Przykładem jego „twórczego” oddziaływania na wszystko i wszystkich może być następujący wypadek, który z trwogą obserwowałem. W górze, za pierwszym polem, na przeciw baraków komendantury rozciągało się olbrzymie pole burzanów i rumowisk. Na polu tym pracowało komando Strassenbau, a obok niego ćwiczone często psy SS-mańskie.

Cwiczenia te polegały na tym, że grupa hundeführerów z psami przyprawiała na to pole kilku więźniów, najczęściej w pasiakach. Kazała im uciekać, a po oddaleniu się ich na odległość ok. 200 m puszczano za nimi ogromne wilczury. Wierzeń dopadnięty przez zwierzaka był gryziony i szarpany. Konflikt między człowiekiem i psem pogłębiany był rozkazem Niemca, by więźniów się bronili.

Pewnego dnia Thumann przejeżdżając obok nas i hundeführerów zainteresował się ich „pracą”. Po stwierdzeniu, że psy są niedostatecznie agresywne i w mało skuteczny sposób powalają ludzi, zatrzymał całą tresurę i rozpoczął zajęcia dydaktyczne. Spośród więźniów wybrał jednego, najsilniejszego na oko, kopniakiem zmusił go do szybkiej ucieczki, a następnie wypuścił w pogoń za nim swojego Borysa. Borys istotnie okazał się mistrzem. Ruszył jak strzala, momentalnie dopadł więźnia i jednym skokiem powalił go na ziemię, targając przy tym jego ciało. Lekcja pogładowa była udana. To nic, że nie mogącego wstać pogryzionego więźnia koledy musieli odnieść na pole.

Stanisława Chwiejczaka, inżyniera areztowanego 1 lipca 1943 r. w wsi Żurawnica w pow. zamojskim. Z obozu w Zwierzyńcu przewieziono go na Majdanek. W końcu marca 1944 r. przeniesiony został do obozu przy ul. Krochmalnej, skąd w kwietniu zbiegł. Nr ob. 6864.

Jan Kozłowski

„Kto jadł cebulę?”

Pewnego dnia kapo zebrał nas kilkunastu i poprowadził bliżej szosy piaseckiej. Tu oczyszczaliśmy boki bitej drogi z rosnących badyli i różnego rodzaju chwastów. Obok rosły cebula, czosnek i groch polny. Smakowały, jak na nasze głodne żołądki, aż nadto

kuszące. Po kilkugodzinnej pracy kapo odszedł od nas do innej grupy więźniów zatrudnionych w pobliżu strażnicy. Czyżby kapo milcząco pozwalał nam skosztować rajskiego ogrodu? — powiedziałem do swego sąsiada. Spróbuj, jak ci życie nie mile. A może nie będzie tak źle? Rozejrzyj się do brzo. O, patrz, w oknie baraku stoi esesman i patrzy w naszą stronę. Spojrzałem tam. Rzeczywiście głowa esesmańska w czapce była aż nadto widoczna.

Pchany jednak jakąś siłą, z łopatą w ręku, rzuciłem się w bok. Wyrwałem jedną cebulę i z powrotem wmiszałem się w grupę więźniów. Cały czas patrzył na mnie? — zapytałem. Widziałem, jak zrobił ruch jakby coś brał, ale uspokoił się, jak przybiegł do nas z powrotem — odpowiedział kolega.

Trzymałem w jednej ręce łopatę, zbierając na jej koniec kawałki ściętych, w drugiej zaś cebulę. Udając, że pracuję w pozycji pochylonej, kilka razy ugrzyłem trzymanym skarb i po chwili cebula zniknęła w moim żołądku. Mój sąsiad, w wieku około 30 lat, Wojciech Koperski z okolic Siedlec, patrzył na mnie z odrobiną zazdrości. Przerwał na chwilę pracę i spojrzał w okno baraku. Niemca nie było widać. Ano spróbuję i ja — rzekł i szybko skoczył do rosnącej cebuli.

Spojrzałem w tym momencie w kierunku baraku. Zauważyłem, jak pokazał się najpierw, widocznie przycajonny, esesman i wypalił z karabinu. Jeszcze nie przebrzmiało wśród pola echo strzala, a już wiezień Koperski kopał konwulsyjnie nogami. Zdążył nieborak wyrwać jedną z cebul, lecz nie zdążył jej zjeść i umierając trzymał jak coś najdroższego w zaciśniętej dłoni.

Co wy, cherlaki, robicie! — ryczał kapo, biegając w naszą stronę. Który z was rwat cebulę? — zapytał patrząc nam bacznie w oczy. Sparaliżowany strachem, patrzyłem beznamiętnie po twarzach więźniów. Czy który powie? Pytam po raz ostatni, kto jeszcze rwat cebulę? — krzyczał kapo. Odpowiedziała mu cisza. Nikt nie rwał — szepnął wreszcie któryś z więźniów. O, jakże byłem mu wdzięczny za te trzy słowa.

Bierście na tragę tego zdechłaka — wskazał kapo ręką zabitego, nie dociekając więcej, czy ktoś jeszcze z nas korzystał z zakazanego ogrodu. Pierwszy schwyciłem tragę, podciągając ją pod nieyżające. Wspólnie z innym więźniem przynieśliśmy go pod bramę IV pola. Stąd już później wiadoma droga — na stos, do spalania.

Jana Kozłowskiego areztowano w Rudce Kijańskiej w lipcu 1943 r. Zwolniono 15 października 1943 r. Nr ob. 4132.

Nikołaj Guluk

Nowy transport

Zajechali my w czerwcu 1942 roku w Lublin. Tam Niemcy okrążyli nasz wagon i wagonu popędził nas szosą na Majdanek. Jak my szli, przystąpił do mnie litewski oficer i zapytał mnie po rusku, gdzie was nałowił. Ja odpowiedziałem — w domu. Jak to w domu? Przyjechali na wioskę, okrążyli, zegnali wszystkich ludzi, kogo chcieli wybrali i pędzą. Ach taka ich mać — a nam haworylli, czo w lesu nałowił, powiedział oficer.

Jak nas zagnali do Majdanka, to zatrzymali nas przed bramą, a później wprowadzili do lagru — sto a może i dwieście osób. Tam dali komendę: Ukraińcy ręce do góry, a jak podnieśli, to Ukraińców w jeden barak, a Polaków w drugi.

Kiedy byli my jeszcze przed barakami, to człowiek, który z mną stał, wyjął z kieszeni butelkę wody. Ja poprosiłem, daj choć kropelkę język przemoczyć. I tak my butelkę wody się dzielili. Niemiec jak zobaczył, że my pijemy, to jak zaczął nahańać błę, że nikt nie wiedział, gdzie sobie znaleźć miejsce.

Jak postrzelił nas w czwórki, to podszedł do nas litewski esesman i powiedział, że jak podają komendę w barak czoć tam iść, a to ubiut, oni budut bili, a ty idi. We drzwiach Niemcy już dawno stali z nahańajami, doczekali ludzi. Jeszcze mówił litowiec: jak popadniecie w barak, to kładcie się na trzecie piętro narów, tylko nie śpijcie, bo oni jeszcze przyjdą. Jak dali komendę do baraku, to ludzie jeden na drugiego się pchali, a Niemcy bili nahańajami. Ręce im chodzili jak na sprężynach, a ludzie padali jedni na drugich, aby przedzielić się wewnątrz baraku.

W baraku, gdzie byli Ukraińcy, było 120, bo było nas dwieście pięćdziesiąt, a Pola-

ków osiemset w jednym baraku. Za jakiś czas przyszli do naszego baraku Niemcy. Kto nie spał, ten był szczęśliwy, a kto spał, to go zbudzili i tak zbili, że on będzie pamiętał sto lat po śmierci. Jednego chłopaka z powiatu hrubieszowskiego tak zbili, że iść nie było gdzie tknąć w zdrowe ciało. On prost zwirował. Musieliśmy z pomiędzy siebie stawić warę, aby nie wybiegał na podwórze, bo mogli go zabić.

Co dnia przychodzili Niemcy do baraków, a jak przyjdą to nie śmieją głowy opuścić do ziemi, bo zaraz bili, myśląc, że się na nich gniewamy. Jeś nam dawali rano pół litra kawy z chmielom, co rosnie na gankach, w obiad jeden litr zupy z zieleń, na kolację pół litra zieleń, albo jak czasem margaryny, małeńką szklankę miodu na sześć osób, 1 kg chleba na 12 osób. Tego wszystkiego na jeden zab.

Jak nas zamknęli, to cały miesiąc mało kto do nas zaglądał. Tylko Litwini, co trzymali warę, albo Niemiec z pułmilotem. Litwini to byli dla nas niczili, czasami wypuszczali nas za próg na słońce. Jeden z nich dostał za to dwa tygodnie strasza. Jak odbył strasz, to przyszedł i powiedział nam, że oni niedługo przyjdą na front i wtedy będzie nam gorzej, bo przyjdą młode Niemcy. Tak i było. Jak tylko objeli warę, to żeby oni nie doczekali na tym świecie żyć, takie to byli bandyty. Przyjdzie ich 10-20, staną na progu, ręce złożone za tył i patrząją po tych ludziach, a potem rzucają kamieniami, a sami się śmieją.

Zmarło z głodu w naszym baraku 3 osoby. Jeden z kolonii Mateuszowa, jeden z Chelma z Kulka i chłopcę, co go nazywali Sciopa. Jednej niedzieli Sapuła z Uchań wyszedł narwać świninuchy, żeby dobawić do zupy, aby było więcej i głębiej. Niemiec, co siedział koło pułmilotu, jak zaczął strzelać w Sapułę, to popadł w człowieka ze wsi Starosiele w plecy, aż mu kule brzuchem wyleziły, a Sapułę ranił w rękę.

Autor: Nikołaj Guluk, mieszka w wsi Elizawietia w obw. wołyńskim ZSRR.

Wiesław Dobrowski

Metamorfoza Manfreda

Ktoregoś dnia przez bramę weszło na Majdanek 111 mężczyzn przywiezionych z Niemiec. Przeważali wśród nich członkowie Hitlerjugend. Partia hitlerowska zarzuciła tym młodzieńcom żydowskie pochodzenie, niektórym nawet w trzecim pokoleniu i wobec tego odstawiono ich do obozu jako Żydów. Dostali takie same pasniki, jak wszyscy więźniowie, takie same trójki czerwone i żółte, jak wszyscy Żydzi, i taki sam wikt. A jednak za Żydów się nie uważali. Witali esesmanów hitlerowskim podniesieniem ręki, wykrzykiwali z przejęciem „Heil Hitler” i tyle tylko na tym zyskali, że przeważnie obdarowano ich funkcjami kapo. Jeden z nich dostał się do naszej grupy roboczej, odbywającej codzienne wędrówki na teren dawnej lubelskiej fabryki samolotów.

Po kilku tygodniach skoszarowano nas w miejscu pracy, ale początkowo nie mieliśmy nie tylko kocioł, ale nawet przyrządy. Pożywienie przywożono nam z Majdanka, bo w podobozie nie było kuchni. Komendantem naszym był Oberscharführer Birnes. Nazwisk innych esesmanów przeważnie nie zapamiętałem, ale niektóre do dziś dnia nie zatarły mi się w pamięci, jak Schnitzmeier, Golak, Obermeier, Morawiec. (...)

Pracowałem w baraku kuśnierskim, a naszym vorarbeiterem był jeden ze wspomnianych młodych Niemców, w których żyłach hitlerowcy wykryli jakieś przymieszki żydowskiej krwi. Na imię miał Manfred. Młody chłopiec tak był zacządzony hitleryzmem, że nie tylko wital esesmanów podniesieniem ręki i sakramentalnym okrzykiem: „Heil Hitler”, ale i do nas odnosił się wrogo. Wyraził nawet kiedyś opinię, że Żydów nie powinno się trzymać w obozie i karmić, bardziej logiczne byłoby powieszenie wszystkich. Byłby to najtańszy sposób pozbycia się niepożądanego elementu, bo rozstrzelanie, bądź co bądź, kosztuje.

Manfred z każdym dniem tracił siły. Zaczęły go gnębić choroby, jako jeden z objawów awitaminozy. Miał ich tyle na pośladkach, że nie mógł już stędieć. Stracił cały swój dawny animusz, ogarnęła go apatia. Pewnego dnia czuł się wciąż szczególnie źle, skoro schował się pod odpadki futrzane, których leżała cała góra. W tym czasie wrzeli do nas jeden z esesmanów i donośnym głosem zapytał: — Wo ist Manfred?

Nie było odpowiedzi. Ale Niemiec sam zauważył, że spod ściany wyglądają nogi

Manfreda i kopnął go mocno. Gdy chłopak wygrzebał się spod przykrycia, kazał mu esesman spuścić spodnie. Manfred dostał 25 razy nahańaj na owrzodzony tyłek i to był początek końca. Złamał się psychicznie, zmienił radykalnie swój stosunek do nas. Prosił, żebyśmy zapomnieli o jego dawnych wypowiedziach, bo obecnie czuje się Żydem, prześladowanym tak samo jak i inni. Błagał, abyśmy go przyjęli do naszego grona. Nie wital już esesmanów po hitlerowsku. Był smutny, gasł w oczach.

Mieszkałem z Manfredem w bloku nr 7. Aby wejść do budynku, trzeba było przekroczyć próg wysokości około 30 cm. Dla niejednego więźnia była to poważna przeszkoda. Gdy pewnego dnia Manfred wchodził do bloku, siły go zawiodyły. Lewą nogę postawił na próg, a gdy chwycić się wciągał prawą, stracił równowagę i runął z impetem, uderzając o ziemię tyłem głowy. Stracił przytomność i już jej nie odzyskał. Zanieśliśmy zwłoki na placyk, gdzie stały kotły na jedzenie, przywiezione z Majdanka.

Wiesław Dobrowski, technik dentystryczny, na Majdanku przeniesiony został z getta lubelskiego 20 kwietnia 1942 r. Z obozu zbiegł 19 grudnia 1942 r. Nr ob. 5568.

Kazimierz Wrycza

3 listopada 1943 r.

Pewnego dnia w jesieni 1943 roku zabrano dużą grupę więźniów do kopania rowów w pobliżu krematorium. Pierwszy raz zobaczyłem je z bliska. Trwały tam gorączkowe prace wykończeniowe. Nad drewnianymi barakami górował potężny czworokątny komin.

Kopaliśmy szerokie rowy, które zygakiem ciągnęły się obok ogrodzenia krematorium. Powiedziano nam, że rowy mają służyć do celów obrony przeciwlotniczej. Miały one głębokość 2 metrów. Dziwiło nas to, gdyż normalny row przeciwlotniczy jest wąski i znacznie płytszy.

W pracy przy kopaniu rowów oprócz naszej grupy zatrudniono bardzo wielu więźniów żydowskich. Wśród nich rozszala się pogłoska, że Żydzi mają być wymienieni za obywateli niemieckich znajdujących się w państwach koalicyjnych. Niektórzy Żydzi pocieszały się perspektywą bliskiej wolności. Nieszczęśliwi nie wiedzieli, jaki los ich czeka.

Nadszedł dzień 3 listopada 1943 roku. Apel poranny odbył się nieco wcześniej niż zwykle. Pierwsze, co uderzyło wszystkich, to widok dużej ilości SS-manów, którymi otoczony był cały obóz. Po apelu zapanowała złowroga cisza. Zdawaliśmy sobie sprawę, że stanie się coś strasznego. Przed bramami prowadzącymi na pola stały samochody z wycelowanymi lufami karabinów maszynowych w naszym kierunku. Na pole wkroczyła duża ilość SS-manów uzbrojonych w pistolety maszynowe. Dostęp do baraków został zamknięty. Padła komenda: Żydzi wystap. Gdy wystąpili z szeregu, więźniów innych narodowości zapędzono z powrotem do baraków. Zamknięto je i nie pozwolono z nich wychodzić.

Przez sparte w drzwiach obserwowano, co się dzieje na polu. Żydów ustawiono płatkami i w zwartych kolumnach wyprowadzono za bramę w kierunku krematorium. Poszli wszyscy: mężczyźni, kobiety, starcy i małeńkie dzieci. Poszli na zglądę. Zamiast spodziewanej wolności czekała ich okrutna śmierć. Widzieliśmy również, że w tym dniu przyszły do obozu nowe transporty Żydów, kierowane w pobliże krematorium. Po jakimś czasie od strony krematorium słychać było strzały. Wprawdzie jej odgłosy miała tłumie muzyka, nadawana przez specjalnie w tym celu zainstalowane głośniki, ale mimo tych zabiegów słychać było zarówno strzały, jak i krzyki morderczym ludzi. Strzelanina trwała aż do późnych godzin popołudniowych. Pod wieczór nastąpiła cisza.

W tym dniu śmierć poniosło około dwadzieścia tysięcy ludzi. Wśród pozostałych przy życiu więźniów zapanowało przygnębienie. Co będzie dalej? Czy jutro nie spotka nas ten sam los?

Kazimierz Wrycza, naczelnik urzędu przetwórczego, areztowany został w Puławach. Pracował w więzieniu w Kazimierzu i na Zaku. Zginął w polowie sierpnia 1944 r. przewieziono go na Majdanek. W marcu 1944 r. przywieziono go do Gross-Rosen, a następnie do Litomierz. Nr ob. 5851.

Wieszanie „na niby“

Różne niespodzianki w różnych dniach nas spotykały. Trudno było przewidzieć, co którego dnia będziemy przeżywać. Uznaliśmy to było albo od naku „wychowawcy obywatelskiego“ Thumanna, albo od komendanta pola, albo od blokowego.

Dla „złustrowania“ tego, cośmy przeżywali, tylko o niektórych praktykach tych panów wspomnę. Przede wszystkim sam czas apelu wieczornego mógł trwać różnie. Nieraz kończył się bardzo szybko, a nieraz staliśmy całymi godzinami. Przeważnie było to wtedy, kiedy padał deszcz i wiał wiatr. A my przemoknięci do ostatniej nitki, trzesząc się z zimna, musieliśmy tak stać zupełnie bezcelowo. Po to tylko, aby nas wynajdować, aby nas kończyć. Zależało to przeważnie od komendanta pola. Po dwóch, trzech godzinach takiego stania wracaliśmy do bloku.

Nieraz byliśmy świadkami, jak któryś z bloków musiał przeżyć karne ćwiczenia. Jak to ćwiczenia wyglądały, to chyba wszyscy wiemy: rolowanie, szaska, padnij, powstan itd. W tym czasie ofiary otaczano esesmanami, kapo i blokowymi. Cni w czasie tych ćwiczeń okładali nieszczęśliwe ofiary palami w najokrutniejszy sposób. Na skutek tej „zabawy“ wielu nieszczęśliwów wracało z polanymi rękami, poranionymi głowami, poranionymi nogami. Często trzeba było wykonać w ten sposób więźniów ściągając z pola.

Innym razem zaimprovizowano wieszanie. Wracamy z pracy i dowiadujemy się, że na dzisiejszym apelu będzie powieszonych dziesięć więźniów. Kto i za co — nie wiadomo. Wszystkie bloki ustawione na swoich miejscach. Wszyscy wyszywnieni na baczność oczekujemy. Wreszcie na polu zjawia się największy kat Majdanek, Thumann. Czarny, z nasuniętą czapą z trzypięć czaszką, z założonymi w tył rękami, z których zwisa pejsz. Obok niego nieodłączny przyjaciel, pies — wileczur. Kto ma być ofiarą, nie wiadomo. Thumann przechodzi między kolumnami więźniów i wskazuje palcem. Pada rozkaz „komm“. Wszyscy przeżywiają to w najokropniejszy sposób. Nikt nie wie, kto będzie ofiarą. Wreszcie wybrał dziesięciu. Esesmani prowadzą ich pod szubienicę. Kapo wydaje rozkaz wejścia na stół, zakłada pętlę na szyję ofiary. Grobowa cisza, tysiące więźniów wstrzymuje niemal oddech, bo za chwilę rozegra się największa tragedia skazanców. I oto pada komenda: pętle zdjąć, więźniowie na swoje miejsca. Bloki rozejść się! Kelnacja. Żeby zrozumieć, cośmy wtedy przeżywali, trzeba tam było być i przeżyć.

Inny wycinek obozowego życia. Wieczorny apel. Esesmani rozkładają leżaki naokoło zgrupowanych blokami więźniów. W ręku odepnięte pistolety. Krzyk, bicie, ustawianie więźniów w idealny porządek. Wreszcie zaczyna się strzelanina. Nie wiemy, co to znaczy. Więźniów około 10 000 i trudno się zorientować, czy kogós zastrzelono. Takie „ćwiczenia“ trwały nawet i całą godzinę. Wszyscy stoją w największym napięciu, może mnie kula trafi, może ja będę ofiarą. Wreszcie strzelanina się kończy. Esesmani wracają na swoje miejsca. Komendant pola daje rozkaz rozejścia się. „Przedstawienie“ skończone, ale nie nerwy kosztowało ono nas „statystów“. Proszę to przeczytać! Nikt nie został zabity, to była zabawa.

Nie zawsze było tylko „na niby“. Były częste wypadki powieszania więźniów i pozostawienia trupa na szubienicy przez cały dzień albo nawet dłużej. Niech się więźniowie napatrzą. To była dla nas lekcja poglądowna, co nas czeka.

Ksiądz Edward Dolecki aresztowany jako zakładnik 21 marca 1943 r. w Hrubieszowie, przewieziony został na Majdanek, skąd zwolniono go 25 września 1943 r.

Zofia Łebek-Kosela-Jończyk

Transport do kaźni

16 grudnia 1942 roku odwieźli mnie do więzienia w Kielcach. Badania co drugi dzień i torturowanie w nieludzki sposób. Wiązano mi ręce w tył i wieszano na drążku za ręce na 20 minut i znów pytali, gdzie bandyci, gdzie partyzanci i twój brat — powiedz, bo pójdziesz do piachu.

Na drugim badaniu Niemcy bili mnie we dwójkę, ile mi wylizyli, nie wiem — zemdlałam z bólu. Zlali mnie wodą i odprowadzili do celi, byłam tak zbita, że nie mogłam iść, ani się położyć.

Za dwa dni znowu mnie zabrano. Bili po głowie, po twarzy, powybijali mi zęby, kopali mnie jak psa. Pięć razy byłam badana i tak byłam wycieńczona głodem i badaniami, że zazdrościłam tym, których rozstrzelano. Myślałam, że i mnie to spotka po wszystkich badaniach, ale nie.

Siedziałam jeszcze w więzieniu do 8 stycznia 1943 roku. 7 stycznia znowu mnie zabrali do kancelarii. Jutro — mówi Niemiec — odsyłamy transport do obozu, skąd się nie wraca, aż po skończeniu wojny. Od ciebie zależy — chcesz, możesz być dzisiaj wolna. Będziesz współpracować z nami, powiesz, gdzie są partyzanci, będziemy ci płacić pensję, tak jak naszym ludziom i daje mi papier do podpisania. Braci swoich sprzedawać nie będę — odpowiedziałam — po wojnie i tak będzie mnie powiesili, bo zdradzący się tylko to należy. Wieszajcie dzisiaj, to zgine z honorem, nie splamię swojej rodziny. Ty polska świnię, bandytów ukrywasz — wrzeszczał Niemiec. Strasznie mnie ruderzył w głowę. Zalałam się krwią i upadłam. Z trudem się jednak podniosłam i do wlokłam do celi.

Następnego dnia wyprowadzili wszystkie kobiety na korytarz. Spojrzałam w okno, a na podwórzu więziennym Niemcy wzięli „drułem“ mężczyznom ręce do tyłu. Serce ścisnęło się na ten widok. Wszyscy byli tak skatowani i wyglądzeni, że nie mogli się utrzymać na własnych nogach, co tam było wiazać.

Kiedy się już ściemniło, ustawili nas „czwórkami“. Mężczyźni szli pierwsi. Niemcy, ułożeni po zęby, obstawili nas dookoła i pognali na dworzec kolejowy w Kielcach. Tam już były przygotowane oblodzone wagony towarowe. Siedzenia żadnego nie było. Staliśmy popierani o zimne ściany.

Za chwilę pociąg ruszył. Dojechalśmy do Skarżyska Kamiennego i tam czekaliśmy trzy godziny. Na dworcu była straszna śnieżca, spociąg przychodził z opóźnieniem. Czekaaliśmy na takich nieszczęśliwych jak my. Przyłączono do nas transporty z Częstochowy, Radomia i Tomaszowa Mazowieckiego. Kobiety z tych transportów dały do naszego

wagonu. Niemiecy konwojenci zabraniali nam mówić. Jechaliśmy całą noc z myślą gdzie nas wiozą. Około południa 8 stycznia pociąg stanął na dworcu w Lublinie. Zorientowaliśmy się, że pójdziemy do obozu śmierci na Majdanek.

Wyładowano nas z wagonów, ustawiono w czwórki i policzono. Staliśmy z godziną, kobiet było 150, a mężczyzn dużo więcej. Dookoła nas stali Niemcy z psami. Śnieg sypał bez przerwy, byliśmy obsypani nim do kolan. Gdy po godzinie dano komendę wy marszu, wszyscy byliśmy tak głodni, zmarnięci i zalamani duchowo, że nie mogliśmy się ruszyć z miejsca. Niemcy nie szczędzili pejszów i czy kto mógł, czy nie mógł, musieli się się podnieść, był zabijany. W drodze z dworca do obozu w ten sposób straciło życie pięćdziesiąt osób. Ze mną w czwórce szła kobieta, której męża zastrzelili. Upadła biedaczka z żalu. Podniosłyśmy ją i prawie że dołożyły do obozu. Koło pierwszego pola kolumnę więźniów zatrzymano i odprowadzono tam mężczyzn. Kobiety popędzili dalej na pole piątę.

Zofia Jończyk, autorkę publikowanego fragmentu wspomnień obozowych, aresztowano 15 grudnia 1942 r. w Stupi Nowej, w pow. kieleckim. Na Majdanek przebywała od stycznia do lipca 1943 r., potem w obozach w Ravensbrück i Genin. Nr ob. 1323.

Włodzimierz Diektariew

Radzieccy generałowie

Któregoś dnia w lutym 1944 roku przyszli do mnie Lawrik Michajłowski i Zdenek Wizner. Przed chwilą wdziałem się z profesorem Michałowiczem — mówił Michajłowski — oznajmił mi, że na Majdanek przybywa wielki transport więźniów z obozu Flossenbürg. W transporcie tym znajdują się ludzie wyniszczeni ciężką pracą, torturami i głodem — niezdolni do dalszej pracy. Wśród nich trzech radzieckich generałów i kilku czeskich komunistów. Wiozą ich tu specjalnie w celu wyniszczenia. Profesor Michałowicz obiecał zrobić wszystko, żeby ratować tych ludzi.

Ja mogę zabrać do swojego bloku dwóch radzieckich generałów i kogoś z czeskich towarzyszy — zaproponowałem. A ja wzmą do siebie trzeciego generała i także kilku czeskich patriotów — powiedział Michajłowski.

Oczekiwany transport przybył. Wiadomość o nim szybko rozeszła się po całym obozie. Wszystkich interesował dalszy los tych ludzi. W przepelnionych wagonach wieziono ich szereg dni bez jedzenia i wody. Wielu umarło w drodze, wielu przy wyładowywaniu. Wyglądali strasznie. Skórą obciążniętą szkielety. Zdawało się, że ręce, nogi i kręgosłup polamią się za dotknięciem.

Michajłowski z przybyłego transportu wziął do swojego bloku około dwudziestu ludzi. Wśród nich był generał-lejtnant Dymitr Michajłowicz Karbyszew. Doktor Wizner przeniósł do swojego baraku również dwudziestu, w tej liczbie swoich przyjaciół z walk w Hiszpanii. Ja zapiekurowałem się generałem-majorem gwardii Tymofiejem Jakowlewiczem Nowikowem — byłem dowódcą grupy radzieckich wojsk pod Moskwą, generałem-majorem Georgijem Wasiliewiczem Zusanowiczem i osiemnastu innymi więźniami.

Nad częścią więźniów przywiezionych w tym transporcie rozłożyli opiekę lekarze: Wieliczński, Pawłowski i inni.

Naszych nowych lokatorów postaraliśmy się ozyć szczególnym staraniem. Każdego wieczoru, po apelu, do bloku, gdzie znajdowali się generałowie, ukradkiem przekradali się nasi jeńcy wojenni i potajemnie spotykali się z nimi. Podchodzili do przyz, witali się serdecznie i chowali pod siennik kromkę chleba, kęs kielbasy, margaryny, garść cukru — wszystko, co udawało się zdobyć w obozowej kuchni, albo od wołnych robotników z Lublina.

Często wieczorami w czternastym bloku zbiegali się przyjaciele posłuchać generała Nowikowa. Odwaga tego człowieka nie miała granic. Mimo że był ciężko ranny, wycieńczony głodem i wyczerpującą pracą, Tymofiej Jakowlewicz zachował w sobie siłę ducha Armii Radzieckiej, o nowej technice, o „katuszach“, o tym, że nasze wojska szybko przesuwać się naprzód i niedaleki już jest czas, kiedy Niemcy hitlerowskie zostaną ostatecznie rozgromione. Wymęczeni ludzie znowu odyskiwali wiarę w rychłe oswobodzenie. Podobne pogadanki prowadzili generałowie Karbyszew i Zusanowicz.

Szczególną popularnością cieszył się Karbyszew. O jego bezprzykładowym męstwie i patriotyzmie wiedzieliśmy jeszcze z czasów jego pobytu w obozie radzieckich jeńców wojennych w Ostrowie Mazowieckim w 1941 roku. Faszyzmem znane było jego bogate doświadczenie i wiedza o sztuce wojenno-inżynierskiej. Hitlerowcy niejednokrotnie proponowali mu przejście do nich na służbę. Zawsze otrzymywali jednoznaczny odpowiedź: zdrayca nigdy nie byłem i nie będę. W nadziei złamania ducha radzieckiego generała fizycznymi cierpieniami i głodem naziści stwarzali mu warunki nie do zniesienia. Karbyszew był niezłomny.

Do późnej nocy w baraku ciągnęły się rozmowy i dyskusje. Czasem na zakończenie śpiewano cicho radzieckie pieśni. Często ktoś zwracał się do wysokiego chudego człowieka w okularach — pisarza czternastego bloku Abramowa (Igor Newerli): Igor Mikolajewicz, opowiedzcie cośkolwiek. I Igor po mistrzowsku opowiadał o podchodach Kotowskiego, o swoich przygodach na morzu i o wielu innych zdarzeniach. Zawsze kończył tym, że szybko wybije godzina wyzwolenia, że więźniowie sami w nim wezmą udział, wyjdą na wolność i będą organizować szczęśliwe życie.

Włodzimierz Diektariewa, lekarza weterynarii, aresztowano na Białostocznynie w połowie 1943 roku. Osadzony następnie w więzieniu łomżyńskim, w końcu października przewieziony został na Majdanek, skąd wiosną 1944 r. przetransportowano go do Oświęcimia.

Aleksander Zakościelny

Więści ze świata

Pomimo stałej warty przy mnie rozpocząłem odbieranie wiadomości radiowych już po kilku dniach pracy w elektrokomandzie. Trudno mi w tej chwili określić czas, pamię-

tam natomiast dokładnie, że pierwszą audycję w języku polskim odebrałem na krótkich falach z radiostacji francuskiej w Tuluzy, która zakomunikowała całemu światu o strasnym ludobójstwie z 3 listopada 1943 roku. Wiadomością tą podzieliłem się z najbardziej zaufanymi kolegami, którzy rozprawiali ją wśród innych więźniów. Od tego czasu codziennie płynęły wiadomości radiowe na teren obozu.

Nie przyszło mi to łatwo. Trzeba było wynajść taki sposób, żeby nie zwrócić uwagi pilnującego esesmana. Ale stare przysłowie mówi, że „opatrza jest nauką wynalazków“ i tak się stało. W odpowiednich godzinach, kiedy nadawano audycje w języku polskim, ustawiałem na warsztacie obok esesmana wyremontowany aparat radiowy i nastawiałem dość głośno muzykę taneczną, czy jakiś inny program, żeby go zainteresować i skłonić tym samym zająć się słuchaniem. Ponadto aparatem było stale kilka w zapasie, miałem również na stole drugi naprawiony aparat, lecz wyjęty z obudowy. Oprócz tego na stole stawiałem nie naprawione jeszcze radioodbiorniki, głośniki, zwoje przewodów i inne części radiowe. Wiadomości odebrałem z aparatu wyremontowanego bez obudowy. Do niego miałem podłączony jeden z głośników z odpowiednio przyciszonym głosem. Przy słuchaniu audycji stwarzałem podobny reperacji tego radioodbiornika. Siódmy warsztat miał dłużej jak najdalej. Po wyłączeniu audycji odłączalem jeden z opórków czy inny tajemniczy przewód i aparat był unieruchomiony.

Zdobywanie wiadomości stało się chlebem powszednim i koniecznym do życia. Rozpowszechniałem je błyskawicznie. Spotykałem się z wieloma kolegami z Zaklikową (Józefem Wesolowskim, Janem Słwym, Janem Zakościelnym, Kaszperem Konierzyskim i innymi), którzy przynosili je dalej. Płynące na teren obozu wiadomości robiły swoje. Podtrzymywały na duchu więźniów i informowały na bieżąco o sytuacji na frontach. Wiedzieliśmy więcej i byliśmy lepiej zorientowani w sytuacji politycznej w świecie niż esesmani.

Oprócz wspomnianego źródła, wiadomości przynikały do obozu przez przedstawicieli PCK i RGO. Oni doręczali więźniom grypsy, a nawet prasę konspiracyjną.

Aleksander Zakościelny, urzędnik, aresztowany został w lipcu 1943 r. w Zaklikowie. Z Majdanek odszedł ostatnim transportem, 22 lipca 1944 r. W czasie postoju w Kraśniku zbiegł. Nr ob. 3227.

Stefania Perzanowska

Ludzie są braćmi

W początkach lutego 1944 roku dano nam znać, że jest w drodze na Majdanek transport kilkuset chorych kobiet z Ravensbrück. Trzeba było przygotować dla nich miejsca, a ponieważ pustych baraków na polu już nie było, zajęliśmy duży barak, dawną zbiorową umywalnię. Nie rozumiałam, dlaczego chore ze szpitala w Ravensbrück przenoszą raptem tu, na Majdanek, ale ponieważ tyle rzeczy tu się działo bez sensu i wbrew logice, nie zaprzętałam sobie tym głowy.

Przed wieczorem dano znać, że chore już dowożą do łaźni i żeby tam posłać pielęgniarki rewirowe. Wróciły za chwilę, przerażone wyglądem przywiezionych kobiet.

Wyglądały istotnie przerażająco. Były doprowadzone do ostatniego stadium wyniszczenia fizycznego i zupełnego zalamania psychicznego. Ta masa wychudzonych do ostateczności kobiet, z maskami beznadziejności na twarzach, nawet na nas, bywałkach obozowych, robiła wstrząsające wrażenie. Nawet Rosjanki, przywiezione ze Smoleńska z tyfusem plamistym, nawet ciągle wstrząsane dreszczami malarii Greczynki z Oświęcimia, wyglądały inaczej, niż te nieszczęsne, półżywe manekiny.

Było ich 780. Wieziono je dwie i pół doby w bydlęcych wagonach, bez kropli wody, bez jedzenia i bez żadnej opieki. W Lublinie wrzucono je z wagonów do ciężarówek jak martwe przedmioty, jedną na drugą. Opowiedziały nam, że tydzień temu w barakach szpitalnych w Ravensbrück zrobiono masową selekcję. Wybrano właśnie te 780 najcięższych przypadków. Były pewne, że to ich koniec. Że idą do gazu. Ale podobno popuściło się akurat krematorium i przysłano je na Majdanek.

Czy istotnie zepsute krematorium zdecydowało o ich życiu, czy jakaś inna perfidia władz obozowych — nie wiadomo. Fakt był jeden — przywieziono je na Majdanek i trzeba je ratować. Przez dwa dni od świtu do późnej nocy badaliśmy w Adą Brudkowską te nieszczęsne chore.

Badania utrudniało nam to, że Polek było tylko 240, reszta cudzoziemki, z których większość znała tylko ojczysty język. Doliczyliśmy się w tym transporcie aż 18 narodowości. Były: Holenderki, Dunki, Francuzki, Belgijki, Jugosłowianki, Norweżki, Rosjanki i inne — istna wieża Babel. Ponieważ tych cudzoziemek była tak przeważająca większość, zaczęłam rozmowę z reguły w obcym języku. Najpierw po niemiecku, gdy nie chwytalo, przechodziłam na francuski, a wreszcie na rosyjski. (...)

Rozmaite choroby była ogromna. Najwięcej było gruźlicy — świętej obozowej gruźlicy i to przeważnie u młodych dziewcząt. Były ciężkie przypadki zniekształcającego gołęca stawów kończyn i kręgosłupa, przewlekłe nieżyty jelit z niekoczonymi się biegunkami, stany zapalne nerek i pęcherza, ciężkie powikłania potyfuusowe w postaci niedomogi krążenia ze znacznymi obrzękami i niedowładem kończyn dolnych. Pamiętam bardzo miłą starszą Holenderkę z takim właśnie niedowładem nog i pełną uruk, śliczną Belgijkę z gruźlicą kręgosłupa i uciśniętym niedowładem nog — Peggy Sollemé. Cierpiała bardzo, tym bardziej, że rzucił ją do ciężarówki na samo dno i na niej leżały inne kobiety. Cicho jęczała cały czas i bezradnie wodziła dokoła sarnimi oczami.

Pod wpływem długotrwałej choroby, a przede wszystkim ostatnich przeżyć, zatrafiły zupełnie siły vitalne i o to martwiłyśmy się najwięcej, ale tym bardziej chcieliśmy je ratować. Z początku po prostu nie docierało do nich, że chce się im pomóc, że ktoś się nimi opiekuje, że się je leczy, specjalnie odżywia i że w ogóle są ludzie, którzy chcą, żeby one żyły.

Leczyć mogłyśmy dzięki pomocy PCK. Zaraz po przyjeździe tego transportu udało mi się wysłać gryps do prezesa PCK w Lublinie, Christiansa, donosząc o nowych chorych i prosząc o mnóstwo koniecznych leków, witamin i odżywek. To samo przekazałam pani Suchodolskiej z RGO. Wkrótce zaczęto przysyłać potrzebne leki i żywność. To była naprawdę bezcenna pomoc. Bez niej nie udaloby się tych chorych uratować.

Wspólnie z tymi organizacjami rozpoczęliśmy walkę o ich życie. Po pewnym czasie zaczęły się cofać obrzęki i niewydolność krążenia, poprawiała się gruźlica, ustępowały biegunki. Udało się nam zdobyć gips i pod kierunkiem Wandy Ossowskiej, która przed wojną pracowała z prof. Grucą, zrobiliśmy dla Peszy gipsowe łóżeczko.

Wciąż tylko nie mogły się wyżyć tej martwoty, która je opanowała, i ciągłego lęku. Zwykle leki i nasza opieka nie mogły dać temu jakos rady. Pomyślałam, że może by się udało je ożywić jakimś zupełnie nie obozowym sposobem. Postanowiłyśmy, że będziemy po prostu urządzać dla nich „amatorkie“, bo nasze występy artystyczne. Pracowała w szpitalu, jako pielęgniarka, śpiewaczka Halina Bielecka... Była także Gienia Matuszewska z Lublina, która miłym głosem śpiewała szereg pieśni partyzanckich i innych, a od recytacji byłam ja.

Gdy zobaczyłyśmy, jak ożywiały się twarze tych kobiet, waluchanych w śpiew Halinki lub Gieni i gdy śmiały się przy Jurandotowskim Jasju, wiedzieliśmy, że pomysł zdał egzamin, że tym dopełnimy naszego leczenia.

Stefania Perzanowska, lekarzka, aresztowana w jesieni 1942 r. w Radomiu. W styczniu 1943 r. wywieziona na Majdanek, skąd 13 kwietnia skierowano do Oświęcimia, a następnie do Ravensbrück. Nr ob. 226.

Bronisław Szlązak

O głodzie i chłodzie

(...) Siedzieliśmy na pierwszym polu razem z więźniami żydowskimi. Rano otrzymywaliśmy jakieś zaparzone zielenie, na obiad trochę zupy i raz dziennie kawaleczek czarnego chleba. I tak o głodzie i chłodzie trzeba było ciężko pracować przy budowaniu obozu. Chodziliśmy na śmietnik, aby znaleźć coś do zjedzenia. Lecz tego ubocznego pożywienia nie można było szukać. Gdy Niemiec zobaczył, że ktoś się schylił po jakiś nadpsuty odpadek, lupinę z ziemiaka, czy listek z kapusty, przybiegał i maltretował. (...)

Po upływie około dwóch miesięcy z moich kolegów zabranych w Skryżycynie już mało kto żył. Wśród nich zginęli też moi szwagrowie. Pewnego dnia wszystkich Polaków przeniesiono na trzecie pole. Zamknięto nas w podwójnie odurtowanych barakach. Na roboty już nie chodziliśmy. Dyscyplina była forsza jak na pierwszym polu. Tu trudniej było coś zdobyć do jedzenia. Głód był okrutny. Za najgorsze znalezione odpady, jak kogós złapano to wiązano mu ręce, mociono i wieszano.

Byłem młody, miałem 22 lata, chciałem żyć. Po kilkutygodniowych głodach z grupą kolegów postanowiliśmy uciekać. Zdecydowani byliśmy na wszystko, bodaj na pewną śmierć, byle skrócić męczarnię. Nie wiadomo, czy ktoś podsłuchiwał nasze rozmowy, a może ktoś zdradził, dość, że Niemcy dowiedzieli się o naszych planach. Zastosowali wobec naszej grupy rygor ostateczny. Wyprowadzono nas na apel, wybrano dwóch kolegów i powieszono w naszym baraku. Tak wisielei całą noc. Pewnego wieczoru jeden z nas chciał wyjść do ubikacji. Nie zdążył otworzyć drzwi, padł strzał i został ranny. Leżał pod progiem baraku i wił się z bólu. Prosił: podajcie wody, wody — i tak przez kilka godzin bez przerwy. Szarpało to nerwy do ostateczności. Jeden z kolegów nie wytrzymał nerwowo, podniósł się, by podejść do niego z wodą. Musieli to zauważyć Niemcy i zaczęli do naszego baraku strzelać. Przygłębiliśmy do podłogi, zrozumieliśmy, że śledzą każdy nasz ruch. Ranny do rana skonał. Po tej koszarnej nocy każdy z nas był bliski obłędu.

To, że przeżyłem, zawdzięczam w dużej mierze majstrom lublińskim, którzy przychodzili do pracy na Majdanku, gdy byliśmy jeszcze na pierwszym polu. Oni przynosili nam z narażeniem własnego życia trochę żywności, jak również wiadomości z naszej wysi.

Bronisław Szlązak, rolnik, aresztowany jako zakładnik 10 września 1942 r. w Skryżycynie, przewieziony został na Majdanek. Zwolniony z obozu 20 grudnia 1942 r.

Klemens Drzewiecki

Ostatnie godziny

(...) W czwartek 20 lipca 1944 roku zaczęto nam wydawać dowody osobiste, ale nie wszyscy je otrzymali. Następnego dnia zabrano spośród nas siedmiu i odprowadzono do krematorium. Byli między nimi Wnuk i Birant z Obroczy oraz Tilary z Poznania. Zaden z nich nie wrócił. Kilka godzin po tym wycytano z listy 50 osób i ulokowano nas w bloku nr 7. Umieszczono tam ponadto 25 więźniów z Zamku. Okna i drzwi w tym baraku pozamykano, a dla pewności zabito jeszcze gwoździami. Żywność dostarczano nam przez jedno okno. Tak przesiedzieliśmy do soboty.

W południe w sobotę zwolano zbiórkę, po której znowu zapędzili nas do baraków, skąd nie wolno było się nam oddalać. W międzyczasie, aby zatrzeć ślady zbrodni, palono pocztę, krematorium, komory gazowe i papiery biurowe. Więźniowie w pasiastych ubraniach przygotowywali się do odejścia z obozu. Odeszli, otoczeni SS-manami, między godziną 17 a 18. Po ich odejściu około 150 metrów od obozu nadleciały radzieckie samoloty, które tuż obok Majdanek zestrzeliły 2 niemieckie samoloty. W nas wstąpiła nadzieja, że może zostaniemy odcbili. Po naliczeniu wycofano całą straż obozową. Jednak niepewni, czy gdzieś nie kryje się jakaś zasadka, dopiero wieczorem zbadaliśmy, że nikt nas nie pilnuje. Ponieważ zbliżała się noc, odłożyliśmy wyjście z obozu na niedzielę 23 lipca. Po opuszczeniu obozu udaliśmy się do Lublina i tam przesiedzieliśmy do poniedziałku w piwnicach. Przy opuszczeniu obozu było nas około 1000 osób. I tak dzięki szybkiemu posuwaniu się Armii Czerwonej zostaliśmy uwolnieni z obozu śmierci i piekła Majdanek.

Klemens Drzewiecki, młynarz, aresztowany został 18 kwietnia 1944 r. we wsi Bondyrze w pow. zamojskim.

NA dworcu, gdy wysiadam z pociągu, co krok ktoś podchodzi i pyta, czy nie potrzebuje pokójku. Znaczy się, Sopot nie jest jeszcze pełen. Tłok, panie, mówi taksówkarz, ale dwa tygodnie temu było jeszcze więcej ludzi. Głównie znaczenie ma nie festiwal, a pogoda. Przy wejściu do Grand Hotelu przebijam się przez duży tłumek, a potem dokładnie się legitymuję, zanim wpuszczają mnie do środka. Pożniej nie miałem już tych kłopotów. W Biurze Prasowym dali mi plastikową broszkę z nadrukiem: „IX International Festival of POP Song. Sopot, 21 st — 24 th August 1969. PRESS — Mr. R. Wiśniewski”. A do tego jeszcze kartę wstępu do Grand Hotelu, kartę wstępu na plażę, kartę wstępu na molo i karty wstępu do Opery Leśnej, osobną na każdy dzień. Karty na molo i na plażę są na dwie osoby, reszta — na jedną. Czyli w dzień mógłbym balować z jakąś damą, wieczorem sam, lub tylko z kimś z festiwalu. Tę broszkę, coraz to przypinałem, lub odpinałem, bo w obiektach festiwalowych ani się ruszy bez niej, nigdzie nie puszcza, zaś na ulicy człowiek czuje się idiotycznie, nosząc na widoku wyraźnie wypisane własne nazwisko i profesję, zwłaszcza gdyby spotkać znajomych, a i przy obcych też nie bardzo, nie ma mowy o żadnym niewinnym wyglupie, czy zatupaniu na dancingu. To ja tak myślę, bo Marek inaczej. Nie chodzi tu o Marka, redaktora naczelnego „Kamena”, tylko o innego faceta, ale też podobnego do mego szefa, po czterdziestce, włosy gładko do tyłu, okulary, brzuszek. Przysiadł się do mnie wieczorem w barze „Caro”, stary, skąd jesteś, pyta, choć się nie znamy, strzelimy po małym „Napoleonie”, ja stawiam, nie łam się, dla mnie forsa to gówno, zarabiam trzy razy tyle na tydzień, co ty na miesiąc, nie jestem gościem festiwalowym, półtora stowy dałem, żeby tu wejść do baru, teraz daję ci górala, za tę broszkę z napisem Press. Nie chcesz, szkoda, namyślił się, jak nie kupię od kogo innego, to przyjdę do ciebie. Chciała mi sprzedać jedna redaktorka, ale nazwisko ma na „ska”, nie pasuje mi, mógłbym wpaść. Nie, ja nie kolekcjonuję, potrzebuję do pracy. Film kręce, kapujesz? Indywidualnie, ze sceny, zza kulis, z knajpy, gdzie festiwalowcy piją. Nie dla wytwórni, prywatnie, 8-milimetrowy. Jak telewizja, albo kronika, włączy reflektory, to i ja z tego korzystam. Po tem żona mi to obrabia, robi kopie i sprzedaje tym pacanom, co ganiają po autografy. Nie bój się, to jest dobry interes, ludzie mają projekty i epidiascopy i kupią. Młodzież kupuje, bracie. W sklepach państwowych mogą dostać tylko bajki o Jasiu i Małgosi, czy o Czerwonym Kapturku, lub o zbójnikach, a oni chcą o big-beacie i piosenkach. Inny etap, nie? To ja uzupełniam to, co firmy uspołecznione zaniedbały. Jak będę miał broszkę, łatwiej wszędzie wejść, choć i tak

gnetofon „i ślubuję wiare i miłość małżeńską oraz to, że cię nie opuszczę aż do śmierci”, potem wesele, po tygodniu przyjeżdżam znów, pokazuję film, przegrywam taśmę i mówię, by kupili, bo jak nawet teraz nie mają magnetofonu i projektorów, to technika idzie naprzód i za pięć lat będą mieli za grosze, a wtedy sobie odtworzą. Bracie, baby płaczą ze wzruszenia. Jak zobacz się na przesćceradle, i zaraz zamawiają kopie; państwo młodzi, teściowie, goście weselni, ksiądz i urzędnik stanu cywilnego, kto tylko był przez chwilę na ekranie. Nie chcesz sprzedać, to nie, żalu nie mam, wypić możemy i tak, proszę pani, dwa „Napoleony”, lubię was, artystów, redaktorów, filmowców, z tej samej branży jestem, nie, a że się wybiłem, nie znaczy, żebym zadzierał nosa wobec kolegów, którym nie poszło. Marka widziałem jeszcze na konferencji prasowej w Bungalowu, potem straciłem go z oczu. Konferencja zaczęła się z godzinnym opóźnieniem, gdyż czekaliśmy w kolejce na upominek w postaci plastikowej torby turystycznej, z okolicznościowym napisem, zawierającej wewnątrz brulion w plastikowej okładce, długopis, pudełko czekoladek i dwa lizaki. Coraz trudniej kupić sobie sympatię żurnalistów, mówi Lucjan Fogiel, fotoreporter „Życia Warszawy”, rok

Konferencja jest jednak niezwykła, zgromadziła ponad 150 dziennikarzy, to niemal rekord w naszych warunkach, nie dziwnego, że każdy chce przed tak licznym audytorium sprawozdać o przedstawi swoje problemy i koncepcje. Bezpośrednio z Bungalowu jedziemy na chrześni statku „Zakarpacie”, zbudowanego w Słocznicy Gdańskiej dla radzieckiego armatora. Matka chrzeszina, Urszula Sipińska, przybyła z godzinnym opóźnieniem. Oczekiwanie na nią dziennikarze wypełniają zalecaniem się do pani L., pięknej dziennikarki radzieckiej, w dodatku mówiącej po polsku. To jest Janusz, reporter i najlepszy polski prozaik młodego pokolenia, przedstawia kogoś. Nie wierzy pani? — pyta Janusz — naprawdę jestem, słowo honoru. Pani L. uśmiecha się uprzejmie, jest równie piękna jak i niedostępna, poza tym asystuje jej red. L., mąż. O siedemnastej nowa konferencja, tym razem z piosenkarzami zagranicznymi, pytania dziennikarzy są różne, odpowiedzi gości wskazują, że ich znajomość już nie Polski, ale tylko polskiej muzyki — dość powierzchowna, Chopin, Paderewski, „Mazowsze”, Anna German i Niemen. Conchita Bautista, 32-letnia sewillanka (ktos nuci starą piosenkę z refranem „A jak kochała to tylko dziewczęta z Sewilli”), która potem podbiła swoim uro-



Za kulisami...

Fot. L. Fogiel

przez okna lampy uliczne, niż skromne świeczki na stolikach, poza tym nuda, gazu sporo, dziewczyny średnie i w małej ilości, pod tym względem dużo lepiej niż na molo, na deptaku, w „Non stopie”, „Night clubie”, no i, oczywiście, lokalach

piosenkarzom, tylko one nie zwróciły uwagi na ten żywiołowy wybuch Kubańczyków. Trzeciego dnia rano prasie urzędowo wycieczkę jachtem „Zawisza Czarny”, wybrał się na nią Andrzej Zieliński, solista i kierownik artystyczny „Skaldów”,

SOPOT 69

BROSZKA Z NAZWISKIEM

temu dawali małe torebki, teraz duże, za rok może fundną po walizce? Andrzej Wróblewski, też z „Życia”, wybrany dziekanem korpusu dziennikarskiego, ma inne problemy i powraca do nich na tej konferencji uparcie, przy każdej okazji: festiwal się rozrósł, w „Dniu pływającym” koncert trwa ponad cztery godziny, czy nie warto tego wyodrębnić w oddzielny festiwal w innym mieście? Ktoś z oficjeli wyjaśnia, że taką ewentualność już była rozpatrywana, nowy festiwal nie mógłby jednak odbyć się w sezonie letnim, bo brak już wolnych terminów, kandydatem na gospodarza jest Wrocław, który ma odpowiednią halę. Wróblewski pyta, dlaczego nie przenieść festiwalu do Warszawy, w której żadna podobna impreza się nie odbywa. Dziennikarz z Katowic odpala, że dużo jest i różnych innych imprez na prowincji, które można by przenieść do stolicy, tylko po co, a poza tym nikt nie

kiem chyba wszystkich widzów i telewidzów, gdy ją pytam, co wie o naszej kulturze i sztuce, przyznaje, że niewiele, ale w każdym razie piosenka „Jest bałabajka”, tak typowo polska, bardzo jej się podoba i nie tylko zaśpiewa ją tu, lecz nawet włączy na stałe do swego repertuaru. Redaktor z Krakowa szepce głośno, że jest jeszcze bardziej typowo polska piosenka „Wolga, Wolga” — na szczęście tłumaczy nie przekłada tego na hiszpański. Inny piosenkarz, mówiąc o swej twórczości, przyznaje, iż musi śpiewać i ballady komercyjne, jak je nazywa, ale prawdziwą satysfakcję sprawiają mu pozycje o wartości artystycznej i w „Dniu polskim” zaśpiewa jedną taką, a mianowicie „Cała sala śpiewa z nami”. Pijemy kazonną kawę i walimy na koncert. Relacjonować nie ma co, wszyscy widzieli w TV. Bilety były po 100 zł od osoby, sprzedano je na wiele dni naprzód, procentu robotników, chłopów i średnio uposażonych urzędników na widowni nie byłym w stanie obliczyć. No, bateria ognia, powiedział emerytowany major Anzelm Borkowski z Lublina, siedzący niedaleko mnie, gdy na estradzie pojawili się „Skaldowie”. Bateria nie zagrziała, widownia nie syczała prawie nic, poza jakimś łagodnym szmerem dolatującym z estrady. Potem dowiedziałem się, że w radio i telewizji szło to wszystko normalnie, lecz zespołowi nikt tego nie wyjaśnił, oni też nie słyszeli siebie w głośnikach, więc po kilkuminutowym bezskutecznym oczekiwaniu, pozbawieni informacji, co się dzieje, przeprosili przez jedyny działający dla widowni mikrofon (gdy im potrzebne są trzy) i zeszli z estrady. To było zrozumiałe, ale potem dowiedziałem się, że tele- i radiosłuchacze nie wiedzieli, o co chodzi, natomiast usłyszeli parę mocnych słów wypowiedzianych przez muzyków z zespołu pod adresem techników. Jak tylko zobaczyłem te latające talerze, wiedziałem, że coś się musi stać — Jerzy Płoński, fotoreporter „WIK”, kwituje złośliwie wielkie kola z dyktu, dekorujące estradę, które jakoś nie komponują mu się do kolorowych zdjęć. Płoński nie jest groźny, najwyżej nie sfotografuje i co? Gorzej z Rowińskim, Aleksandrem, reporterem „Prawa i Życia” zwanym w kręgach dziennikarskich „krwawym”, wygląda na jednego z „Trubadurów”, wasy i długie bokobrody, a pióro ma ciete. Jak jest okazja przysmarować, nie oszczędzi nikogo, po festiwalu opolskim wykpił niektórych autorów tekstów i kompozytorów piosenek, określanych jako „zaangażowane”, za brak walorów artystycznych i napisał, że wartość polityczna utworu zależy nie tylko od intencji autora, lecz od wielu innych czynników, w roku 1956 zaangażowana politycznie stała się nagle, z dnia na dzień, pieśń biesiadnicza „100 lat”. Rowiński siedział teraz w sopockim klubie SPATIF i w milczeniu ciągnął kawę, kto wie, o czym rozmyśla, więc tekściarze, którzy też znaleźli się w tym klubie, patrzyli nań z nabożnym lękiem i chodzą ostrożnie jak wokół jajka. W klubie gęsto od dymu papierosowego, więcej światła rzucają tu

„Grandu”. Przewalkowałem się przez nie, w celach turystycznych naturalnie, to zabawa nie na moją kieszeń, 31 zł doba diety, zresztą inaczej słowa bym o tym nie napisał. Fajne koty, co? pyta Zbyszek marynarz, który się do mnie przysiadł przy kolacji, też przechodzi na „ty” i mówi, że lubi prasę, cholera, nigdy nie myślałem, że mamy tylu sympatyków. Wiesz, dostałem dwa miesiące urlopu, to postanowiłem powetować sobie ten post na morzu, tylko diabli wiedzą, która to motylek, a która ćma nocna, co zarabia machaniem skrzydłami; poderwałem wczoraj jedną i przystar-gałem do domu, a to osa, co bzyczy i miodu nie daje, i jeszcze może uciąć, położyła się na tapczanie i mówi, że porozmawiać możemy, nie więcej, ona nie z tych, przyszła do mnie dla draki, co jej mogę zrobić, ona się nie boi, zna dżudo, pokazała nawet legitymację, może znaleziona czy ukradzioną, nie obchodzi mnie, powiedziałem, żeby odwróciła się twarzą do ściany, nie chcę żeby na mnie patrzyła, ja też nie z tych, co się na każdą rzucają, wypilem szklanke „Soplicy”, poprawiłem piwem i zasnąłem w fotelu. Siada do nas pan z cygarem, po pięćdziesiątce, patrzy na moją broszkę, jaka jest Maryla, panie redaktorze, czy ona lubi hm, hm, no niech pan nie mówi, że pan nie wie, hm, hm, pan to chytry człowiek, nie chce nie powiedzieć, a może inna artystka lubi, bo ja tu na urlopie, kupilem dziś w Gdańsku „Mercedesa” i którą bym przewiózł, hm, hm, ale tak, co nie dla pieniędzy, tylko z życzliwości, to nie sknerstwo, rozumie pan, sytuowany jestem. Sytuowany dudli wodę aż miło, po godzinie jest dobry, trzy ęmy z baru ruszają do naszego stolika, czy to krzesło wolne, jedna siada na nim, dwie jej na kolanach, zrywam się do wyjścia, Zbyszek i sytuowany też, już święta, pod hotelem sporo ludzi, na deptaku dwóch hippiesów śpi na rozłożonym kocu i przykryci drugim, do którego przyczepiona jest duża kartka z napisem „niech żyje władza ludowa”. Jeden ma pod głową drogie radio tranzystorowe, radio cicha gra, pod SPATIF-em stoi Janusz prozaik, wyraźnie zdegustowany, z wyrazem rozczarowania przygląda się przechodzącym kobietom o zmęczonych nocą twarzach. Przez tę zarwaną noc zrobiłem sobie drzemkę po obiedzie, zasnąłem, późniłem się na koncert drugiego dnia festiwalu i, żeby nie robić balaganu na widowni, poszedłem do baru pod estradę, maledźkie ciupki kategorii „S”, 11 zł lampka wody z sokiem cytrynowym, innych specjalistów nie brałem, duszno było niekiedy, nawet El Jilguero, choć z Kuby, ocierał wielkie krople potu, co nie przeszkodziło mu, że po występie znów zszedł z trójką swoich akompaniatorów do baru i urządził drugi występ, wciągając do śpiewu innych, obecnych tam piosenkarzy, dziennikarzy i organizatorów. Tylko gromadka pięknych brunetek, blondyn i rudych, o twarzach starannie umalowanych i wypięlegnowanych rękach nierobów, które nie wiadomo, jak się tam dostały, i wyciekająco przyglądały się mijającym je

i wyjaśnił dziennikarzom, że gnębi go ten przerwany występ w pierwszym dniu, nie wiedział, że w telewizji i radiu wszystko jest dobrze, publiczność w Operze Leśnej na pewno go zrozumiała, lecz słuchacze odbierający koncert na falach eteru na pewno nie wiedzą, dlaczego przerwali występ, może nawet z jej punktu widzenia postąpił niewłaściwie, lecz przecież nikt go nie poinformował, jak sytuacja wygląda, był zdenerwowany, „Skaldowie” sobie cenią udział w Festiwalu, a tu taki pech, teraz chciałby wyjaśnić i przeprosić. Zieliński przyszedł jeszcze na popołudniową konferencję prasową i powiedział to samo już licznijemu gronu, nareszcie był temat dyskusyjny, gadano o tym dwie godziny, część dziennikarzy domagała się, by organizatorzy przeprosili „Skaldów” publicznie za owe niedopatrzenie techniczno-organizacyjne, część domagała się, by pozwolono „Skaldom” złożyć wyjaśnienie i dodatkowo wystąpić. Organizatorzy zasłaniali się różnymi względami, a przede wszystkim dobrym imieniem naszego kraju, wymagającym, by nie powracać do tego kompromitującego incydentu — ten argument wywołał powszechną wesołość, bo jakoś trudno było uwierzyć, by ktokolwiek poważny mógł kształtować sobie opinię o Polsce na podstawie festiwalu. Gdy wieczorem publiczność zachwycona głosem i wdziękiem panny (pani?) Conchity, oklaskami i okrzykami „o lei!” wywoływała ją wielokrotnie na estradę, a w przednich rzędach pojawił się też transparent z jej imieniem, redaktor z Łodzi zauważył, że dostarczamy argumentów radiu Tirana. Jeśli tak, niedzielny występ don Miguela Samper Peñó, występującego pod pseudonimem Michel, nagradzany burzliwymi brawami, takimi „o lei!” i Grand Prix de Disques Sopot 69, musiał ugrun-tować opinię redaktorów tej rozgłośni. Hiszpan był tak uradowany swoim sukcesem, iż ucałował w oba policzki modelkę wręczającą mu kwiaty (w swojej ojeździe musiałby za to pewnie ożenić się, powiedział redaktor Szczawiński z Katowic) i uśmiechał się od ucha do ucha, co było dość niezwykłe, gdyż przez dni poprzednie siedział zawsze z dostojną miną hidalga, któremu nie figle w głowie a corrida i inne poważne sprawy, zresztą, być może, powaga pozostała mu z czasów przed-piosenkarstwa, gdy oddawał się rodzinnemu zajęciu rzeźbienia nagrobków. Ja o koncercie finałowym, a tu przecież była jeszcze niedziela poranna konferencja prasowa, znów poświęcona dyskusji o „Skaldach”, a potem głosowanie nad nagrodą Drasy, Henri Seroka z Luxemburga otrzymał ją minimalną przewagą głosów, ci, którzy typowali inaczej, nie chcieli się podpisać na dy-plomie, wręczonym piosenkarzowi.

Muslim Magomajew, laureat „Dnia polskiego”, nazwany przez dziennikarzy zachodnich „sowiecka bomba estradowa”, który przez poprzednie dni unikał reporterów, teraz udzielał już chętnie wywiadów, tryskał radością z powodu zwycięstwa, przyglądał się z powodu swego pierwszego miejsca, powiedział, że gdyby nie zauważono go w Sopocie, byłby załamany, bo przygotowywał się do imprezy długo i starannie. Piosenkę traktuje równie serio jak operę, a jego



Fot. L. Fogiel

się dostane, tylko, że trzeba smarować. Co robie, jak nie ma festiwalu? Różne zespoły, solistów, czasem jakichś zagraniczników, no i pogrzeby, śluby, chrzty, pierwsze komunie. Dawniej byłem portreciarzem, teraz zaniechałem, to nie ten etap, trzeba iść z postępem i kulturę nieść do społeczeństwa. Jadę na ślub, filmuję, nagrywam na ma-

broni warszawskim działaczom kulturalnym występowania z własnymi inicjatywami, lecz niech nie próbują kraść pomysłów innym. Redaktor Spiridonow z Bułgarii przeprosza, że nie mówi poprawnie po rosyjsku, a następnie wyraża zdziwienie, że zamiast dowiedzieć się czegoś o piosenkarzach i zespołach, które dziś występują, on i jego koledzy zagraniczni są świadkami sporów na temat drobnych szczegółów organizacyjnych oraz różnych animozji, które ich nie interesują.

Przypominamy w telegraficznym skrócie treść pierwszego odcinka. Jest wrzesień 1942 r. Autor wspomnień, znany labelski adwokat, podjął się bronić przed sądem w Radomiu niejakiego Tadeusza G., oskarżonego o współzawzięcie z okupantem. W toku wielu rozmów przekonuje się, że opinia o Tadeuszu G. nie jest w mieście jednolita. Obok zdecydowanych przeciwników ma on i grupę gorących zwolenników, b. partyzantów, którzy uważają go wprost za bohatera podziemia. W więzieniu dochodzi do spotkania obrońcy z oskarżonym. Tadeusz G. opowiada o pewnym dniu czerwca 1942 r., kiedy to przypadkowo Niemcy wzięli go z ulicy i zmusili, by towarzyszył im w charakterze tłumacza. Hitlerowcy dokonali licznych aresztowań. Obecność Tadeusza G. w ich gronie nawiązała przypuszczenie, że to właśnie on wydał ludzi. Pierwszy odcinek kończy się słowami: „Skoro przejechał po raz ostatni z aresztowanymi ludźmi do więzienia — przyp. red. gestapowiec pozwolił mu iść do domu, ostentacyjnie podziękował, klepiąc go po ramieniu i wręczając jako nagrodę paczkę papierosów”.

A oto dalszy ciąg wspomnień:

WIEZIENIE w Radomiu znajduje się prawie przy ulicy, na obazernym placu, który je okala. Na placu tym pod murami domów zaczęły się zbierać gromadki ludzi, przeważnie kobiet, matek i siostr aresztowanych — chciały się upewnić, co się z ich najbliższymi stanie. Podziękowanie od Niemca i papierosy otrzymał G. na oczach tych wszystkich ludzi. Gdy się rozjechał i zdał sobie z tego sprawę, papierosy wyciął mu z ręki i zaczął odwrót, mimo woli przyspieszając krok. W końcu prawie biegł — po prostu uciekał odprowadzany przez dziesiątki nienawistnych spojrzeń, w głuchym milczeniu. Na trotuarze pozostała tylko paczka rozsypanych papierosów.

Skoro wy dostał się z tego zakłętą kręgu, długo włóczył się po mieście wśród zaułków i uliczek, trwożliwie unikając spotkań z ludźmi. Do domu wrócił późno, po godzinie policyjnej — matka już spała snem niespokojnym, często przerywanym przez głuche jęki i jankania. Nie zapalił światła, by jej nie budzić, rozebrał się po ciemku i położył na tapczanie. Książkę wsunął pod poduszkę i próbował zasnąć. Sen nie przychodził, natomiast w miarę jak sobie przypominał i uprzytamniał to, co go dziś spotkało, nachodziły go myśli wprost rozpaczliwe. Od kilku dni już nie pracował w Arbeitsamcie i zerwał wszelkie więzy z tą instytucją, ale przecież nikt w mieście o tym jeszcze nie wiedział. Wielu wierzyło, że się występuje Niemcom, a teraz na dodatek to dzisiejsze zdarzenie... Jak się usprawiedliwić?

Palila go koldra i poduszka, przewracał się z boku na bok — w końcu zmęczony zdrzemnął się. Obudził go nagły loskot. Zerwał się i zapalił światło. To książka wypadła spod poduszki na podłogę, czyniąc w ciszy taki hałas. Obudziła się również i matka. Trzeba było wszystko jej opowiedzieć. Teraz już oboje nie spali i medytowali, co uczynić w tej trudnej sytuacji. Ku swemu zdziwieniu Tadeusz nie usłyszał: a mówiłam, a ostrzegalam — tylko słowa pełne współczucia i troski. Ustalili wspólnie, że konieczne, nie zwlekając, trzeba wytłumaczyć niektórym ludziom, jak się sprawa przedstawiała w istocie i jaką naprawdę rolę odegrał w tych zdarzeniach Tadeusz. Chodziło przede wszystkim o kolegów i bliskich znajomych. Jasne, że tej czynności nie mógł się podjąć on sam — nikt by mu nie uwierzył, a może nawet nie chciał z nim rozmawiać. Przeto wzięła to na siebie matka.

Wczesnym rankiem, kobieta, ubrana na czarno, wyruszyła w obchód według tych adresów, które jej syn uprzednio wskazał. Nie wierzyła w skuteczność swych poczynań, ale rozumiała to jako konieczny i trudny do wypełnienia obowiązek. Była przekonana, że tak właśnie powinna postąpić.

Złe przeczucia jej nie omyliły. W każdym z kilku miejsc, które odwiedziła, doznała innego przyjęcia, ale nigdzie zrozumienia i wiary. W pierwszym domu wysłuchano cierpliwie i uprzejmie jej tłumaczenia, kiwano głowami i mówiono, że wierzą — ale widać było, że to wszystko jest udane i nieszczerze, że się jej po prostu boją i radzi by pozbył się jak najprędzej niemiłego gościa. Następna wizyta nie doprowadziła nawet do krótkiej rozmowy. Skoro ją tylko ujrano w drzwiach oznajmiono, że gospodarze są chorzy i tak zdenerwowani, że nie zniosą na ten drażliwy temat żadnej rozmowy. Trzecie spotkanie było najgorsze. Przyjęto ją z wylewną serdecznością i usilnie prozono, by jej syn, który przecież od dawna występuje się Niemcom, zechciał użyć swych wpływów oraz stosunków i pomógł w uwolnieniu ich syna. Gotowi są za to dobrze zapłacić.

Po tych trzech nieudanych próbach wróciła do domu, słusznie mniemając, że skoro dość bliscy znajomi i rodzice kolegów Tadeusza tak zareagowali, nie można się niczego lepszego spodziewać od innych, obcych ludzi.

Jedynie, co teraz pozostało do zrobienia, to czekać. Może się sprawa jakoś sama wyjaśni, może aresztowanych zwolnią, jak to już przecież czasem się zdarzało. Na razie urządzono, by Tadeusz przez pewien czas nie pokazywał się w mieście, dopóki sprawa nieco nie przycichnie.

Jednak nadzieje te okazały się płonne. Całe miasto formalnie się trzęsło od komentarzy i plotek na temat ostatnich wypadków, a osoba G. była w centrum zainteresowania. Oczywiście nie trzeba dodawać, że w jak najgorszym świetle. Wypominano mu jego pracę w Arbeitsamcie, łączono z jego osobą uprzednio dokonane aresztowania, wyolbrzymiano jego ujemną rolę w środowisku młodzieży. Tajne komplety nauczania, na które uczęszczał, natychmiast rozwiązano, a nawet niektórzy jego byli koledzy uciekli poza miasto.

Wtedy to właśnie zrodziła się gadka, że Tadeusz G. wpisał się na wolkliste, że przybrał nazwisko Welss i pod tym nazwiskiem nadal pracuje w Arbeitsamcie, jednocześnie będąc konfidentem, może nawet stałym funkcjonariuszem gestapo. Oczywiście wszystkie te wieści, jeszcze wyolbrzymione i spotworniałe, dochodziły stale do uszu głównego sprawcy zamieszania. Można sobie wyobrazić jego zdenerwowanie, tym bardziej, że czuł się zupełnie bezsilny i skazany na absolutną bezczynność. Bał się wyjść z domu, a jednocześnie go ponościło.

W końcu nie wytrzymał i postanowił udać się do swej dziewczyny, porozmawiać z nią serdecznie — ona pewnie go zrozumie, przecież nieraz twierdziła, że nie jest jej obojętny. A więc znowu pewnego wieczoru schował pod bluzę tę fatalną, niedyś jej obiecana książkę „Ziemia gromadzi prochy” i wyszedł z domu. Dziewczyna zastała, ale przyjęcie, jakie mu zgotowała, przeszło wszelkie oczekiwania. Przede wszystkim jak zobaczyła tę upragnioną niedyś książkę, zaczęła krzyczeć, żeby sobie ją natychmiast zabrał, że zna się na takich bezcelnych prowokacjach i nie życzy sobie więcej widzieć go na oczy. Wszelkie próby nawiązania normalnej rozmowy okazały się bezskuteczne. Wreszcie, bojąc się, by jej krzyki nie spowodowały jakiegoś niebezpiecznego zbiegowiska, szybko opuścił mieszkanie, upewniwszy się, że przegrał ostatnią stawkę.

Odsiedział jeszcze ze dwa tygodnie w domu, z którego w końcu bieda i specyficzne warunki wojenne go wyrzuciły. Trzeba było postarać się o jakąś pracę, bodaj fikcyjną, gdyż w przeciwnym razie przy najbliższej lapance pojeździe do Niemiec. No, a poza tym coś zarobić na utrzymanie swoje i matki. Zaczął więc kręcić się po mieście. Do ludzi, a szczególnie dawnych znajomych, się nie pchał, ale czasem musiał się z nimi spotykać. Byli dla niego uprzedzająco uprzejmi, ale unikali bliższych kontaktów, przerywali rozmowy za jego zbliżeniem i nie mogli ukryć swej pogardy i obawy. I wszystko to trwało niezmiennie. W tych warunkach

dalej pobył w mieście stawał się nieznośny, a wyjechać na stałe nie mógł, bo nie było za co i gdzie.

Jednak stopniowo uboleł sobie tak żyć, by się mógł jak najbardziej wybećować. Pracę otrzymał bez wielkiego trudu, najpierw w firmie „Bata”, później w jakimś przedsiębiorstwie. Była to wyrazna fikcja, gdyż nawet nie wymagano od niego regularnego uczęszczania do zakładu, otrzymał jednak świadectwo. Korzystając z wielkiej ilości wolnego czasu, a zbrzydliwy sobie miaoło ze znanych powodów, zajął się handlem, skupując w odległych wioskach niezbędne do życia produkty i sprzedając je później w mieście. Miał stałych dostawców i odbiorców, w ten sposób utrzymywał siebie i matkę na niezłym poziomie. Rzyzykował wiele, bo w razie wpadki groziły wielkie kary, ale groziły one wszystkim za wszystko. W tych czasach nie narażał się ustawicznie życia, nie można było żyć. No i tak się wegetowało na razie bez większych komplikacji, ale w stanie ustawicznej emocji.

W mieście stosunek do G. się nie zmienił. Niejedno niespodziewane aresztowanie przyplawiano Jemu. Z licznej grona młodych ludzi, zatrzymanych pamiętnego czerwcowego dnia, na razie nie wrócił nikt. Część poszła do obozu, część wywieziono na roboty do Rzeszy.

Tadeusz poważnie rozmyślał, by dla ocalenia swej opinii wstąpić do partyzantki i nawet starał się nawiązać rozmowę na ten temat z ludźmi, o których wiedział, że tam należał. Nikt jednak nie chciał z nim się spotkać, a tym bardziej mówić o tak intymnych i niebezpiecznych sprawach. Należało z tego na razie zrezygnować.

I tak upłynął spory kawał czasu. Na froncie wschodnim Niemcy przegrywali — w mieście było coraz gorzej. Lapanki, aresztowania, wywózki. Tadeusz G. miał jak dotychczas wyjątkowo szczęście. W czasie lapanek w mieście — znajdował się właśnie na wsi, a obawy po wsiach unikał bezpiecznie w Radomiu. Już zaczął wierzyć w swoją szczęśliwą gwiazdę i myślał, że tak będzie zawsze.

Katastrofa przyszła nagle, bez żadnych znaków ostrzegawczych.

W czasie dokuczliwej, mroźnej zimy roku 1943 wracał do Radomia pociągiem od strony Skarżyska. Wiół z sobą dość obfity bagaż, z którego część była w dużym plecaku, a część słoniny i rąbaki schował po prostu pod kołuchem. Niespokojnie wyglądał oknem i oczekiwał zmirzchu, bo wtedy jednak czuł się nieco bezpieczniej. Jak zwykle pociąg był przepelniony, w jego przedziale siedziały same kobiety.

Nagle pociąg został zatrzymany w szczerym polu, błyskawicznie otoczony i obsadzony przez gestapowców. Fakt, że rzecz działa się nie na stacji, i że w obławie nie brali udziału żandarmi, tylko sami SS-mani — niezbitnie dowodził, że tym razem nie chodzi o polowanie na towar, tylko na ludzi i to w ściśle określonym celu. Tadeusz to sobie od razu uprzytomnił, ale brakowało czasu na jakiegokolwiek działanie. o pozbyciu się teraz towaru nie było nawet mowy. W drzwiach korytarza już stało dwóch gestapowców, a w sąsiednich wagonach odbywała się dokładna rewizja w poszukiwaniu czegoś. Wszyscy milczeli — strach paraliżował mowę.

I wtedy stało się to najgorsze. Zdezelowane okno w przedziale odsunęło się, lodowaty wiatr wtargnął do wnętrza. Siedzący naprzeciw kobiety zaczęły prosić G., jedynego mężczyznę, by zamknął okno. Wstał i uczynił zadość ich prośbie. Lecz w tej chwili usłyszał przeraźliwy ryk Niemca: Coś, bandyto, wyrzucił przez okno? Na jego twarz spadło szereg brutalnych ciosów. Krew popłynęła z ust i nosa; usiłował coś tłumaczyć po niemiecku, ale go nie słuchano. Na domiar złego przerażone kobiety nie umiały, czy też nie chciały wyjaśnić, jak to było naprawdę. Ani się spohstrzegł, gdy znalazł się na zewnątrz pociągu, w grupie innych zatrzymanych mężczyzn. Przy rewizji, oczywiście, ujawniono towar i dostał jeszcze parę razy po twarzy. Po czym załadowano go wraz z innymi do samochodu. Z zapadnięciem zmroku był już w Radomiu, ale w więzieniu.

Tę pierwszą noc spędził bezsennie, nie nawiązał żadnych kontaktów z towarzyszami w celi, tylko rozmyślał. A myśli były niewesołe. Zdawał sobie sprawę, że wpał fatalnie, że jest w sidłach jakiejś poważnej sprawy i że prawdopodobnie biorą go za kogoś innego, jakaś grubą rybę z podziemia. Pobita twarz mu spuchła, dwa zęby przednie się ruszały, ale tego nie czuł, przejęty grozą sytuacji. Przez moment przebiegła mu myśl, że teraz dopiero zrehabilituje się w oczach miasta z tych haniebnych, a nie popelnionych czynów — ale jednocześnie uprzytomnił sobie, jaką cenę przyjdzie za to zapłacić i ciarki przeszły mu po skórze.

W ciągu najbliższych dni nie się nie działo. Przesłał gryps z wiadomością do matki i czekał, obserwując tylko, jak codziennie kilku aresztowanych wywożono na śledztwo, skąd wracali tak potwornie pobici, że często nie mogli ani usiąść, ani się położyć. Wiedział, że i jego czeka ten los. Ale stało się znowu inaczej.

Pewnej nocy obudzono go, kazano się ubrać i wyprowadzono z celi. Był pewien, że idzie na rozmowę, jak to się wtedy nazywało. Tymczasem wprowadzono go do pokoju, w którym za stołem siedzieli trzej gestapowcy, czwarty pełnił funkcję oskarżyciela. Był to tak zwany policyjny sąd doraźny. Odczytano mu oskarżenie. Zajmował się szmugłem, dostarczał żywność do lasu dla partyzantów — w czasie zatrzymania zdążył wyrzucić przez okno wagonu kompromitujące dokumenty. Znał dobrze niemiecki, więc próbował coś powiedzieć na swoją obronę, lecz przewodniczący gniewnie kazał się streszczać, po czym sąd udął się na naradę, w wyniku której ogłoszono wyrok: kara śmierci. Odprowadzono go do celi, ale nie tej co uprzednio — do takiej, z której jest tylko jedna droga: do mogiły.

Powazecznie było wiadomo, że wyroki policyjnych sądów wykonywane były albo natychmiast po ogłoszeniu, albo w ciągu najbliższej doby. A jednak miały go za dniami, celi śmierci napełniali się nowymi ludźmi i tłumozala, a po Tadeusza G. nikt nie przychodził. Czekal z minuty na minutę, z godziny na godzinę. Kroki na korytarzu, szczerzenie kluczy, zgrzyt drzwi — za każdym razem wracała myśl: to już po mnie. Ale zawsze chodziło o kogoś innego. Co przeżył przez te długie dni i tygodnie, nie potrzebuje opisywać.

Jaka była przyczyna tego dziwnego postępowania? Wyjaśnienie przyszło nie od razu. Najpierw pogłoski, potem

ostateczna wiadomość, która do głębi wstrząsnęła skazancem.

Ciśnięcie aresztowanego po otrzymaniu grypsu postanowiła wszystko uczynić dla ocalenia syna. Jednakowe wszelkie starania, chodzenie, wystawanie pod drzewami, okazały się nieskuteczne. Również nie daly żadnego wyniku wizyty u ludzi, którzy rzekomo mieli stosunki i pewne chody w gestapo. Pieniądze brał, ale pomógł, jak się okazało, nie nie mogli. Spotykała się też parokrotnie z taką odpowiedzią: niech się pani nie niepokoi o syna, on sobie sam da radę, bo ktoś ma lepsze stosunki u Niemców, niż on?

W trakcie bezskutecznego chodzenia po ludziach otrzymała wiadomość o zapadłym już wyroku śmierci. Nie zalamala się i wtedy właśnie wkroczyła na dobrą drogę. Udała się mianowicie do adwokata F., Polaka który miał uprawnienia występować przed sądami niemieckimi, znał wymiennicę prawo niemieckie oraz wszelkie kruczki prawne ich procedury. Z miejsca zaczął działać. Złożył mianowicie skargę do władz nadrzędnych w Krakowie, że Tadeusz G. skazany został przez niewłaściwy sąd, albowiem szmugiel, spekulacja, mały sabotaż itp. przestępstwa nie podlegają kompetencji sądu policyjnego, lecz Sondergerichtu — sądu specjalnego do rozpatrywania spraw Polaków, oskarżonych o przestępstwa sui generis, a do takich należały te, które popełnił Tadeusz G. Prosił o odroczenie wykonania wyroku i wnosil o unieważnienie całego postępowania.

I prosił siebie wyobrazić, że uzyskał pełny sukces. Sam bym nie wierzył, gdybym nie widział na własne oczy odnośnych akt, które ocalały i były potem dołączone do na-

PSEUDO: »SERCE«

Konrad Bielski

szej sprawy. Jak to się stało — trudno pojąć. Widocznie skarga mecenasa F. trafiła w Krakowie do rąk jakiegoś wyjątkowo przyzwolonego i szanującego praworządność referenta, boć przecież pieniądze tu nie zadziały. Środki finansowe, którymi rozporządzała matka, były nadzwyczaj skromne i zresztą już mocno nadszarpnięte w czasie uprzednich bezskutecznych starań.

Rozprawa przed Sondergerichtem miała zupełnie inny przebieg niż tamta policyjna w więzieniu. Oskarżony, który miał już poza sobą straszne chwile oczekiwania na śmierć, odzyskał pewność siebie, a że przy tym mówił płynnie po niemiecku, potrafił dobrze się tłumaczyć, uczynił na sądzie dodatnie wrażenie. Wyjaśnił, że dla chorej matki i siostry wiozł tę trochę tuszując i że nie miał nic wspólnego z bandytami, których sam się boi itd. O wyrzuceniu przez okno dokumentów już nikt się nie pytał.

Sąd po bardzo krótkiej naradzie skazał go wyjątkowo łagodnie na rok więzienia. Karę tę w całości odbył w tymże radomskim więzieniu, w którym siedzi obecnie i opowiada mi historię swego życia.

Wczesną wiosną 1944 r. wyszedł na wolność. Przed bramą oczekiwała go matka.

Dziwne były po opuszczeniu więzienia te pierwsze dni niby wolności. Dopóki odbywał karę z wyroku Sondergerichtu, był absolutnie bezpieczny; nie wolno było go pościć do obozu, ani na rozstrzelanie. Wszyscy inni więźniowie, którzy bądź odbywali karę wymierzoną przez sądy polskie, bądź przeciw którym toczyło się śledztwo, w każdej chwili w razie potrzeby wysyłani byli do obozu, lub jako zakładnicy na rozstrzelanie. Napatrzył się na to dosyć, jak również na inne makabryczne sceny, przez cały długi rok.

Takie to dziwolągi były w administracji i praworządności niemieckiej. Na przykład każdy policjant niemiecki mógł zastrzelić dowolną liczbę Żydów i za to nie ponosił żadnej odpowiedzialności, wystarczyło tylko jakieś służbowe wyjaśnienie. Lecz czasem zdarzał się taki szczęściarz. Jeden na dziesięć tysięcy, którego sprawę kierowano do Sondergerichtu, oskarżając o nienoszenie rozpoznawczej opaski na ramieniu. Sądzony był z całą powagą w majestacie prawa i jeśli jeszcze otrzymał wyrok, choćby najsurowszy, ale więzienia, to miał szansę ocalić życie.

Tadeusz G. wiedział o tym doskonale i zdawał sobie dokładnie sprawę ze swej sytuacji. W każdej chwili w trakcie jakiejś przypadkowej lapanki lub oblawy mógł być zatrzymany, a wtedy już wyrok, który odsiedział, był z kolei ciężkim argumentem przeciw niemu jako recydywicie. A w międzyczasie front się przybliżył, wzmożła się dywersja partyzantów na zapleczu i terror okupanta trwał bez przerwy.

Jedynym wyjściem z tej beznadziejnej sytuacji było opuszczenie jak najrychlej Radomia i przystąpienie do partyzantów. Myślał, że teraz to mu się już uda. Złą opinią w mieście po ostatnich zdarzeniach nieco przycichła i znacznie poprawiła się. Choć było wielu jeszcze nie przedjedanych którzy nawet ten fakt, że unikał śmierci, tłumaczyli jego zaangażowaniem się po stronie hitlerowców.

Po kilku dniach badania terenu zetknął się z znajomym, o którym wiedział, że jest głęboko zaangażowany. Opowiedział mu o sobie wszystko i prosił o pomoc. Nie od razu otrzymał odpowiedź. Czekal na nią przez kilka tygodni. Przyczyna była ta, że przeprowadzono o nim dokładny wywiad. Osobą, której zlecono to zadanie (jak się później dowiedzieliśmy) była kobieta, pseudonim „Irena”, inteligentna, odważna i bardzo roztropna. Wynik wywiadu okazał się dla zainteresowanego korzystny. „Irena” nie zadowolila się zebraniem aktualnych plotek, ale potrafiła spojrzeć głębiej i doszukać się rzetelnej prawdy.

Kiedy w wyznaczonym czasie Tadeusz udał się na miejsce spotkania, usłyszał decyzję, która go z jednej strony napelniła nieklamana radością, a z drugiej nie stworzyła nowo troski i kłopoty. Oczywiście nie było zbrane o nim, mimo bardzo podzielony i niebezpieczny, wypadły ostatecznie pomyślnie. Do czasu, kiedy go partyzantki może być przyjęty. Gdzie i kiedy nie było się w odpowiednim czasie, pod jednym z warunków: nie dostać, musi sobie sam zdobyć i przetrzymać na miejscu wyznaczonego spotkania. Jak tego do czasu, to już wyłączenie jego sprawa, oni mu w tym nie pomagali. Termin do realizacji dostaje bardzo krótki: dwa tygodnie. Bowiem wszystkim się bardzo spieszy, sytuacja z dniami zmienia się i również kontakt z nim może być w każdej chwili zerwany. Bez broni nie ma prawa się pokazać.

(Ciąg dalszy za dwa tygodnie)

„KLIENCI” Z JEDNEJ I ...TYSIĄCĄ NOCY

Maciej Podgóski

UPAL. Sobota jest. Po robocie, po wypłacie i wie czarową porą. Chłopaki polskie gromadnie odjeżdżają w niebo alkoholowe. Startują z knajpy lub z zielonej trawki. A ja w takśwójce i trzeźwy. Oglądam księżyc ulicy Kawowej. Wysiadam z takśwójki pośrodku ulicy.

— To gdzie jest ta izba? — pytam kierowcę.

— Pan nie wie?! — absolutne zdumienie na jego twarzy.

— Ano, tak się złożyło.

— Idź pan prosto, do końca Kawowej — cierpliwie poucza i ogląda mnie uważnie. „Sam klient się pcha czy co?” — myśli pewno. Ale że wyglądam trzeźwo, więc tylko na konicie raczej stwierdza niż pyta: „Pan pewno kogoś szuka”. Potwierdzam. Co będę człowiekowi klarował, że służbowo, za „materiałem”, zem nuworysz izbowo-wytrzeźwienie-woy...

Zresztą nie takim znów w tych sprawach zielony jak szczyptorek na włosną. Polakiem przecie jestem. A naturalne byłoby pytanie, kto dzisiaj pije w tym kraju? Bo prawie wszyscy piją. Tak samo nie warto medytować, kto się upija? Bo większość zaprawia się tego. Małe dobre wita malej stabilizacji. Jeszcze może sens jest spytać, kto się urzyna jak zwierzę, ze wszelkimi tego konsekwencjami dla siebie i otoczenia? Trzeba by w związku z tym przebadac statystyki izb wytrzeźwień, co dla placówki lubelskiej mam zamiar zrobić, ale nie teraz. Uczciwa statystyka jest tutaj konieczna, aby nie czynić problemu tam, gdzie jest tylko margines społeczny. Wstępnie rozejrzałem się w tej materii, obserwując dzień, a właściwie noc ciężkiej pracy miejscowego przybytku dla pijacków koszmarnych.

Spała w okolicach dworca PKS-u Spał w parku na Podzamczu. Spał na ławce ulicznej. Spał w parku 1000-lecia, kieszonnie ubrania wywrócone na wierzch, puste. Leżał na ulicy, pokrowcowany. Leżał w trolezbisie, jeszcze przy resztkach pieniędzy. Leżał na chodniku, pasek po byłym zegarku równiutko podcięty. Leżał na trawniku. Leżał na poboczu jezdni. Siedział na ławce dworca PKS, ze spodniami opuszczonymi do kolan. Zimą odmrozenia pewne albo i co gorsze... Zazwyczaj okradają ich cwaniaczkowo-specjalisci, niezależnie od pory roku. Baranki kompletnie zamroczone. Najczęstsza chyba kategoria klientów izby, jeśli chodzi o powód zatrzymania. Reszta zwieziona z bójk „towarzyskich”, awantur domowych, też, oczywiście, „na obrotach”.

Nazywani są tutaj pacjentami, bo izba prócz celu wychowawczego i porządkowego pełni również funkcje ochrony resztek dobytku, zdrowia, a czasem i życia swoich pensjonariuszy. Badania lekarskie. Do rana pomoc medyczna. Kontakt z pogotowiem. Plastikowe worki na ubranka. Osobno pomieszczenia dla trzeźwiejących, osobno dla „denatów”, deliryków-szalowców. Depozyt — dla pieniędzy i innej zawartości garderoby. Po przespaniu się — szcztoka i żelazko do dyspozycji. Przed przespaniem się — pu-

sznic na orzeźwienie, ręcznik i koszulka. A pod przysznice nie lubię. Awanturni wtedy są. „Lej mnie, lej” — wrzeszczy jakiś masochystycznie nastawiony i nie chce wyleźć spod natrysku. „Twojego brata zabił i ty będziesz zabity”. „Jutro się spotkamy” — odgrają się sanitariuszom, z którymi powalczylem lubię, rękaw od fartucha oberwać... „Normalne sprawy” — powiada kierownik zmiany, A. Kościak. Dla pracowników izby normalne.

Oglądam defiladę ciał brudnych najczęściej i wychudzonych. „Przeważnie zdarzają się wypadki niedożywienia — mówi lekarz — grzybica, tuszycyca, świerzb nietypowy, bo biorący się z zanoszonych non-ironów”. Rano obejrzą ich jeszcze raz. Już godzina 22. Izba do połowy zapelniona. Około 30 pacjentów. Ale teraz dopiero się zacznie, a knajp będą wychodzić, „dojrzewać”. Ruszam w teren radiowożem MO, chcę zobaczyć „genę” kolejnego pacjenta.

Przed dworcem PKP wałęsa się jakiś chłopiec z „wujkiem”. „Wujek”, oczywiście, nie na gazie, choć przynajmniej się tylko do paru „piwek”. Milicjanci spisują jego personalia i biorą go na sprawdzenie do izby. Z chłopcem sprawa ciekawsza. Twierdzi, że ma lat 16, ale nie wygląda na to. Brudny, zaniedbany. Mieszka w Lublinie. Przebywa podobno w zakładzie poprawczym w Poznaniu. Zadanej legitymacji. Tatuowany na rękach i pierści. Sierżant stwierdza: „Oni mają klucza specjalne, dolina — osobno, kioskarz — osobno...” Chłopiec sam podpowiada, kto ma jakie klucza i za jakie wyroki. „Ja nie chcę klamać, ja chcę jeszcze na wolności pochodzić” — dodaje. O sobie tyle tylko, że jest podczas wakacji w domu. Rodzice żyją, pięcioro rodzeństwa. Dlaczego znalazł się na dworcu z „wujkiem”, tłumaczy mętnie.

Jedziemy na Wrotków, gdzie chłopiec rzekomo mieszka. Uprosiłem o to obsługę radiowożu, bo powinien z miejsca wyładować w Milicyjnej Izbie Dziecka. A więc Wrotków. Wiocha właściwie. Wjeżdżamy w jakieś wiejsko-miejskie zaniedbane obejście. Rozwołana stodoła. Niska, obokurna chałupa. W oknach pali się światło. Klamka z drzwi wyciągnięta. Stukamy. Długo nie otwierają. Mały harmider wewnątrz. Zaglądam przez okno. Starsza kobieta pospiesznie chowa wódkę do kredensu. Wreszcie wychodzi. Tak, jej syn. „Gdzieś ty, cholero, był od piątku?” Zaprasza do środka. W izbie dwu mężczyzn: jeden udaje, że śpi, drugi siedzi przy stole zadumany smętnie nad talerzem bigosu. „Wujka” personalistów matka dokładnie nie zna. Zatrzymany syn jeździł chwilowo na robotę, jakieś siatki czy parkany robić. Rzeczywiście ma 16 lat. Jest w zakładzie w Poznaniu, gdzie zdał do czwartej klasy szkoły podstawowej. Matka nie pracuje. Ojciec t e r a z dostał rentę. Plutonowy spisuje personalia chłopca, zostawiamy go pod „opieką” rodziny i odjeżdżamy. Przynajmniej dziś będzie nocował w domu.

„Tych wałęsających się chłopców trzeba sprawdzać, wakacje teraz,

kioski leją jeden za drugim, to jest sezon na kioski” — mówi sierżant. Wakacje i kioski obrabiane — dopiero teraz kojarzę. A więc sprawdzamy chłopców. Godzina 24. Peryferie. Maszeruje czwórka. Na widok radiowożu z miejsca uciekają. Ciężka gonitwa i dwóm nie udało się. Legitymacji, oczywiście, brak. Jeden całkiem młody (11—12 lat), porządnie ubrany, przerażony. Drugi starszy, cwaniak. Z nim rozmowa:

— Pokaż, co masz w kieszeniach?

— Wyciąga lusterko z widocznym aktorki, karty-należniki (pokerowe chyba, bo od „stodemek”) i latorękę sygnałową... milicyjną.

— Gdzie mieszkaś?

— Na utrzymaniu państwa jestem

— powiada — w Domu Dziecka w Zamościu.



Fot. A. Polakowski

— Co robisz w Lublinie?

— A nic, przyjechałem, na grzybieliśmy iść.

— Rodziców masz?

— Nie mam, ojciec aby żyje.

W komisariacie przyciśnięty wyznaje z trudem, że w Domu Dziecka to on jest, ale nie w Zamościu, lecz zupełnie gdzie indziej, a mieszka w Lublinie. Tamtych, co uciekli, obaj nie znają, ani nie. „Jutro Plac Litewski będziesz zamiatał, dozory poszli na urlop” — ktoś dopowiada całkiem już abstrakcyjnie, bo coś można im zrobić? Trochę przetrzymać, zawiadomić rodziców. Młodszego zresztą odwiezie się zaraz do domu. Ten starszy będzie pewno „uracać” do radiowożów i do komisariatów, aż wpadnie na dobre.

Wyruszamy dalej w teren. Słyszę meldunek z „centrali” o awanturze w knajpie. Godzina 1.30. Reprezentacyjny lokal „Europa”. Normalne winogrono przy wejściu. Stukamy. Już wiedzą o przybyciu radiowożu.

„Przejdźcie dla munduru” — ktoś rzyje ze środka. Wchodzę pieroszą, chociaż tylko w welwet odziany. Za mną wyjątkowo dla mnie uprzejmi funkcjonariusze. Draka na cały hall. Ośrodkiem jest elegancka pan-na w pepitkowym garniturku i koronkowym zaboście. Dorodna. Portier-chudziła nie chciał jej wpuszczać, bo stolików nie było. Ona podobno wepchnęła się siłą. Szarpnięcia „tête à tête” miała tu miejsce. Pojedynek damsko-męski. Babka jest podrapana na szyi, portier ma naderwaną koszulę. Babka jest na gazie, portier trzeźwy. Jej długi monolog wyjaśniający, często z boku przerywany. „Ja bardzo ciężko pracuję i mam prawo się pobawić, a on do mnie mówi: córciu, spłyń do domu, porządne kobiety to w domu siedzą (... z dziewczyną chcą zrobić — dodaje jakiś świadek), a ja jestem silna dziewczyna i nie dam się szarpać, dziwki nie pracujące to wpuszczają, „Japonkę” na przykład, honorują ze wszystkie szacunkami (wódkę się pije z głową, a nie z kielbasą — dopowiada ktoś z obsługi „Europu”) — pani chciała wejść na chamy”. Świadek coraz bardziej elokwentny. „Panie, odejść pan, niech wpiwio wystucham tej pani” — mówi plutonowy. Świadek nadal elokwentny. Spisują wrzeszczy i jego. „Utrudnienie w czynnościach”. „Chcesz pan dalej to wyjaśniać?” — pytają. Chee. Po drodze znajduje się jeszcze świadek świadka, lecz dla niego brak już miejsca w radiowożu i czasu brak. Ładujemy się do radiowożu. Świadek świadka coraz bardziej nerwowo się robi, ale musimy odjechać. Świadek nr 1 nie może do końca nadmuchać balonika. „Ja nie jestem sportowcem” — oznajmia. „Jestem intelektualistą” — dodaje potem z godnością. Kumedya istna.

Z drugiej strony — trudna sprawa. I głupia zarazem. Świadek chyba rzeczywiście postronny. Prawnik jakiś bodaj. Ale na sporej fali. Dziewczyna (urzędniczka, rozwódka z dzieckiem) rzeczywiście podrapana, ale także na sporej fali. Może jest „coś” w tym, co mówiła, lecz nie tyle ko ona sama została „poszkodowana”. O reprezentacyjnym lokalu Lublina pisano już tu i ówdzie rozmaite rzeczy. Kwiecie w każdym razie europejskie życie w naszym mieście czcigodnym.

Obsługa radiowożu musi dokończyć sprawę. Rozmawiają z dziewczyną o godz. 3 w komisariacie. Mówi już spokojniej, bo kac się chyba zaczął i przytomność wróciła. Napisała oświadczenie. Równocześnie portier i „Europa” prokuruje swoje. Sierżant i plutonowy piszą notatki służbowe. Jest cisza. Miła po tych wrzaskach europejskich. Atmosfera robi się sielska, leniwie pogaduszki jakieś o gołębiach, wspominki. Dziewczynę wypuszczają, a my na jeszcze jeden objazd.

O godz. 4 skończy się służba obsługi „mojego” radiowożu. Ciężką orkę mają ci ludzie, a przecież znaleźli czas na informacje dla mnie. Trzeba jeszcze kioski peryferyjne objechać, do meliny pobliskiej zajrzeć, tym razem pustej... „Normalne rzeczy” — powiadają milicjanci. Dla nich normalne.

Jestem znów w izbie. Godzina 4. Na progu spotkam świadka. Nie kwalifikował się, ponadto zostały tylko dwa miejsca, a jeszcze mogą dowiedzieć cięższe przypadki. Smutna konieczność potostatowania malej rezerwy. Dowiedli zresztą — nieprzytomnego pyknika. Z „Europu”, gdzie wódkę porozdzielal, rachunku nie uścił i w ogóle zachowywał się jak u Villona w miejscu „gdzie nasze mamy leżą”. Starszy rewident z zakładu przemysłowego. Ten pod przysznice nucił wesoło. Przynajmniej on.

O piątej rozpoczynają się zwolnienia. Do ósmej wypuścili 26 osób. Stałych bywalców tym razem nie było. A znani są tu tacy. 35-letnia prostytutka — 110 pobytów (same umorzenia, niewypłacalna). Mitologiczny „Broniek” lat 57 (on wódek nie lubi, denaturat tylko, wódkę fruzjerską) — 95 pobytów, 32-letni, denaturat — 79 razy. Przypadki jedyny.

Ale tych nie widziałem. Raczej drobnica. Przeciętność. Może to i lepiej — dla typowości obrazu. Rano są potulni, zasnapi barankowie, nawet ci najwięksi wieczorowi piero-je. Niespokojne spojrzenia na mnie rzucają — co ja tu robię, że siedzę i piszę? Ten, co rozwałił rękawo fartucha sanitariusza, musi bulić i za fartuch. Nic nie pamięta, zupełnie nic. Młodzik ze wsi. Kawaler. Buty przyjechał do Lublina kupować. „Ojciec się nie wyplacą” — mruczy. Podobnych do niego jest więcej.

Lecz najwięcej jest młodych, którzy pochodzą ze wsi i pracują w Lublinie jako robotnicy. Najczęściej w zakładach budowlanych. Element napływowy, słabo zaaklimatyzowany. Zarabiają 1500—2000 zł. Nie wykwalifikowani. Wykształcenie 7 klas i cztery korytarze — jak powiedział jeden. Przejijają wyplaty. Nie przejmują się.

— Obrobili cię po pijanemu, za co będziesz żył? — pyta jednego depozytariusza.

— Będą pieniądze!

— A skąd?

— Chwilówka będzie.

— Podliczyć, podpisać i wnieść skargę na tych, co wódkę wymyśliłi — kończy z nim sprawę depozytariusz.

— On jak wyjdzie, pod okrągłakiem piwo z miejsca będzie ćwiczył — takie jest zdanie sanitariusza. I co z nimi robić? — pytam sam siebie.

Mam też następne pytania: co robia przedsiębiorstwa budowlane, by zadbać o aklimatyzację pracującej u nich napływowej młodzieży ze wsi? Szkoły przyzakładowe, komórki ZMS — co robią? Tu już kończy się margines społeczny czy przy- padek, a zaczyna się realny społeczny problem.

Wychodzę z izby o godz. 8.00. Wódkę nie pijem, a kaca mam. Mijam obok dworca kolejowego sławetny okrągłak z piwem. Wianek amatorów jak pod „Litewskim” o drugiej w nocy. Są klienci z izby! Trzeźwy jak śmierć, niewypsypani, pakują się na dworzec, gdzie sprzedawam się portierem, szczerze tam oferowanym w bufecie, i wracam do domku w poczuciu znakomicie wypełnionego obowiązku. Ja też po pracy zrobiłem swoje.

W roku 1967 mieszkańcy województwa lubelskiego wydali na zakup książek (bez podręczników) 43 897 tys. zł, co w przeliczeniu na jednego mieszkańca daje ok. 23 zł rocznie. W analogicznym okresie na alkohol (powyżej 18%) wydano łącznie w sprzedaży detalicznej i gastronomicznej 1 560 384 tys. zł, co w przeliczeniu na jednego mieszkańca daje ok. 779 zł rocznie. Odpowiednie liczby za rok 1966: książki — 46 089 tys. zł (ok. 24 zł), alkohol — 1 066 707 tys. zł (ok. 526 zł).

Kiedy czarne jest białe

Maria
Bechcyc-Rudnicka

WYSTAWIENIE „Black Comedy” w Lublinie poprzedziła nader korzystna fama. W ciągu trzech lat dzielących nas od premiery, która się odbyła w londyńskim National Theatre z błogosławieństwem, rzecz można, samego Laurence’a Oliviera, sztuka Shaffera obiegła szereg scen europejskich, zyskując reputację przysłowiowej bomby śmiechu. I rzeczywiście — trudno sobie wyobrazić coś bardziej zabawnego, coś mniej obowiązującego widza do napięcia mózgowego, niż ta „Czarna komedia”, rzecz o tytu-



Peter Shaffer — „Czarna komedia”. Henryk Sobiechart (Brindsley), Zyta Polomska (Clea), Barbara Grabowska (Carol), Marian Drozdowski (Harold).
Foto: W. Parys

le zdawałoby się sugerującym skojarzenia z czarnym charakterem.

Fabula? Całkiem prosta, wręcz findiesciowo odprężająca. Młody malarz i rzeźbiarz (może genialny — ktoś od razu powie!) kocha się z wzajemnością w głupiej pannie na wydaniu, córce pewnego pułkownika, równie arbitralnego jak ograniczonego. Aby małżeństwo doszło do skutku, należy przekonać nadętego papę, że konkurent jest artystą już wziętym, że z talentu jego płynie złotodajny strumień. W tym celu Brindy, młodziak dość zaradny, przenośi do swej pracowni, wyposażonej na co dzień prawie

wylącznie w twory jego pędzla i dłuta, spory asortyment szacownych sprzętów swego sąsiada antykwariusza, przebywającego na urlopie. Następnie zaprasza teścia in spe do owego przybytku sztuki na dzień i godzinę, kiedy ma tam przybyć niejaki Georg Bamberger, słynny milioner, kolekcjoner arcydzieł, który ponoć zachwyca się twórczością naszego Brindsleya.

Trzeba jednak pecha, że akurat w czasie oczekiwania tych podwójnych odwiedzin następuje awaria sieci elektrycznej, w mieszkaniu rzekomo panują ciemność „jak u stu murzynów...”. Ale naprawdę scena jest oświetlona a giorno i to stanowi właśnie kapitalny pomysł Shaffera, wprawdzie zapożyczony ze starej opery chińskiej, lecz w zastosowaniu komediowym istnie kolumbowe jajo. Stąd, z wprowadzenia zaskakującej konwencji świetlnej — cała vis komica „Czarnej komedii”. Może i miał Peter Shaffer, znany u nas ze słyszenia chyba jako autor dramatu epickiego „Królewskie łowy słońca” — może i miał przeciw aspiracje do stworzenia w „Black Comedy” satyry społecznej, wskazywałyby na to przydługie charakterystyki postaci w spisie osób, nawiasem mówiąc — nieco pretensjonalne. Tak czy inaczej jego paradny trik ze światłem, miał obnażać dramatis personae duchowo, skompromitował je fizycznie wystawiając wszystkie co do jednej na śmiesz-

ność z racji niedoleństwa spowodowanego awaryjną sytuacją.

„Czarna komedia” nie jest bynajmniej samograjem. Powyższe jej zalety: od inwencji reżysera, od wygimnastykowania aktorów, od... sprawności elektryków. Słyszalam na próbie generalnej taką inwokację reżyserską:

— Panie Edziu, na was patrzy Europa. Jeżeli choć jeden reflektor nie zostanie wygaszony we właściwej chwili, kasa będzie musiała zwracać pieniądze!

Ale żaden reflektor nie nawalił, a aktorzy dokazywali istnych cudów w zręcznej niezręczności i w lunatycznej mimice.

Jerzy Wróblewski, któremu zawdzięczamy m. in. świetne przedstawienia „Wiatru w galeziach sassafrasu” i „Klubu kawalerów”, wyreżyserował sztukę Shaffera z dużym nakładem dowcipnych pomysłów sytuacyjnych. Działania dokonują się, na dwóch poziomach i na łączących je schodach, z nieomalą cyrkową brawurą. Figury rozgrywające akcję są arcyzabawnie wymodelowane.

A więc: Na centralną niejako pozycję wysuwa się bufeniasty tata-pułkownik, dla którego Włodzimierz Wiśniewski skomponował nieomylnie głowę kamiennego idola. Szczytowo komizm, kontrastowym uzupełnieniem Pułkownika Melketa jest Panna Farnival, przekwitła dziewczyna w pretensjach a z pociągami do alkoholu, która gra z właścicielką siebie wewna Nina Czarka.

Niezawodnymi filarami akcji są również — Henryk Sobiechart i Barbara Grabowska jako para młodych narzeczonych ukazanych nie tyle w sytuacjach sentymentalnych, ile w kłopotliwych.

Znakomicie bawią sceny Zyty Polomskiej, grającej Cleę. Była kochanką Brindsleya — zwłaszcza scena przedziergnięcia się w gosposie. Zmanierowanego, dzisiejszego hippisa, jakby na kształt dzisiejszych hippisów, zrobił ze swego antykwariusza Marian Drozdowski. Interpretacja interesująca, zawiódł jedynie przedkońcowy moment trochę przedramatyzowanej frustracji.

Wybitnie uduła się Stanisławowi Stojce epizodyczna rola niemieckiego emigranta, pracownika elektrowni, egzaltowanego entuzjasty sztuki. Wreszcie Georg Bamberger, milioner zabawnie metafizyczny w ujęciu Grzegorza Mrówczyńskiego, deus ex machina „na obyrtkę”, nibanalnie zamyka przedstawienie.

Mam wrażenie, iż jedną z zalet reżyserskiego stylu Jerzego Wróblewskiego jest nawrót do teatralności. Bardzo pomocna mu w tej tendencji okazała się dekoracja J. Adwigi Pożakowskiej, o elementach komponujących się w atrakcyjny briać a braci, lamus artystyczny, który dopinguje do tworzenia nieoczekiwanych sytuacji. No i te świetne kostiumy, groteskowe w kroju i pstrokacie barwy!

Zdaje się, można mieć nadzieję, że „Czarna komedia” zapoczątkuje szczęśliwą passę we frekwencji na widowni Teatru im J. Osterwy.

Jedyny zarzut w stosunku do prezentacji sztuki: przy tak żywym ruchu scenicznym należałoby wyraźniej podawać dowcipy słowne.

Nowe wydawnictwa o Majdanku

25 LECIE wyzwolenia obozu na Majdanku przyniosło wiele nowych pozycji, które w sposób bardzo istotny wzbogacają naszą wiedzę o tej lubelskiej „fabryce śmierci”. W lipcu ukazał się III numer „Zeszytów Majdanka”, wydawanych przez Radę Naukową Towarzystwa Opieki nad Majdankiem i Państwowe Muzeum na Majdanku. Obszerny tom zawiera materiały z sesji naukowej z listopada 1966 roku. Na czołowe wysuwają się dwa obszernie referaty. Pierwszy, W. Tuszynskiego omawia organizację, liczebność i działalność hitlerowskiego aparatu policyjnego i wojskowego na Lubelszczyźnie, jego udział w akcji eksterminacyjnej i zwalczaniu ruchu oporu. Autor zwraca także uwagę na udział Wehrmachtu w licznych zbrodniach — pacyfikacjach i egzekucjach. Referat E. Działoszy i J. Marszałka przedstawia system więzień i obozów w dystrykcie lubelskim, różnorodność formy organizacyjne obozów pracy, obozów jeńców radzieckich, ośrodków zagłady (Belzec i Sobibór) i na tym tle obóz na Majdanku, spełniający wszystkie funkcje w eksterminacji ludności Lubelszczyzny i wszystkich okupowanych krajów Europy. Tragiczny bilans strat w obozach Lubelszczyzny przekroczył 1,5 mln osób.

Liczne komunikaty i głosy w dyskusji stanowią bardzo istotne uzupełnienie referatów, a autorzy ich przedstawili akcje pacyfikacyjne (J. Markiewicz), egzekucje (L. Siemion), zbrodnie na dzieciach (Z. Tokarz, J. Wnuk), zbrodnie na Zamku lubelskim (L. Policha), w Rotundzie jamojskiej (E. Suchora) i obozach jeńческих (Sz. Datner).

Ostatnio ukazał się też IV numer „Zeszytów”, który otwiera słowo wstępne Pawła Dąbka, prezesa Zarządu Głównego Towarzystwa Opieki nad Majdankiem, a w następnym artykule Z. Mańkowskiego omawia strategiczne i gospodarcze znaczenie Lubelszczyzny i politykę represyjną okupanta oraz znaczenie ruchu oporu, którego walka paraliżowała ekspansję tego terenu. J. Marszałek omawia budowę i organizację obozu na Majdanku w latach 1942—1944, obejmującego „liste miasto baraków” złożone z 280 baraków, a wśród nich komory gazowe i krematorium, stanowiące symbol zbrodniczej roli obozu. Z. Leszczyńska, w oparciu o skrupulatnie zebrane, choć niepełne, materiały źródłowe, zestawia i omawia transporty na Majdank, których liczebność oblicza na ok. 250 tys. osób, co zresztą stanowiło tylko część, gdyż brak jest danych do liczebności dużej części transportów. Z. Murawska ukazuje obóz kobiecy na Majdanku, opisuje liczne transporty więźniarek z kraju i zagranicy, oraz tragiczne warunki życia. Cz. Rajca przedstawia organizację, działalność, produkcję, więziarską siłę roboczą i warunki pracy w filii niemieckich zakładów zbrojeniowych przy ul. Lipowej w Lublinie.

Obydwa tomy „Zeszytów” zawierają także dział recenzji literatury obozowej oraz bibliografię Majdanka (w oprac. E. Rosiakowej). Zamknięcie tomów stanowi kronika, dotycząca działalności Muzeum na Majdanku i Towarzystwa Opieki nad Majdankiem.

Następne pozycje stanowią wspomnienia b. więźniów Majdanka, będące wynikiem konkursu, zorganizowanego w 1963 roku przez Muzeum. Konkurs przyniósł ponad 180 pamiętników, z których 7 nagrodzono, a 12 wyróżniono. Kilka z nich właśnie ostatnio ukazało się drukiem.

„Niebo bez ptaków” Danuty Brzosko-Mędryk (Wyd. MON, Warszawa 1968) stanowi wspomnienie młodej dziewczyny, która po aresztowaniu w Warszawie przez więźniów na Pawlaku dostała się do obozu na Majdanku. Wspomnienie to, pisane bezpośrednio po powrocie z Niemiec, oparte na grypach, listach i zapiskach w obozie wysyłanych na wolność, ma niemal wartość bezpośredniej relacji, dotyczącej szczególnie życia w obozie kobiecym.

Pamiętnik Jana Michałaka „Nr 3773 miał sześć lat” (Wyd. Iskry, Warszawa 1969) opisuje dzieje młodego chłopca, który po aresztowaniu w Warszawie znalazł się z całą rodziną na Majdanku i przeszedł okres rozpaczliwej walki o życie własne i ojca, przeszedł różne komanda i pola, a ocalał dzięki pomocy starszych więźniów. Tragiczny jest w jego wspomnieniu obraz obozu, w którym w okresie świąt choinkę ustawiono obok szubienicy. Autor po wywiezieniu z Majdanka znalazł się w obozach w Gross-Rosen i Leitzmeritz, a zakończył wojnę udziałem w powstaniu w Pradze w 1945 roku.

Zacheusz Pawlak w pamiętniku „Przeżyłem” (Wyd. Pax Warszawa 1969) po aresztowaniu w Radomiu i przejściu potwornego śledztwa w gestapo radomskim dostał się na Majdank, gdzie pełnił funkcję sanitariusza rewiru (szpitala) obozowego. We wspomnieniach przedstawia organizację obozu, rolę rewiru w ratowaniu więźniów, działalność informacyjną o liczebności obozu, systemie izolacji, składzie załogi, komorach gazowych (plany) i o innych danych, przekazywanych różnymi nielegalnymi drogami opinii całego świata.

„Pole śmierci” Andrzeja Stanisławskiego (Wyd. Lub., Lublin 1969) to wspomnienia młodocianego więźnia, aresztowanego z rodziną w Warszawie i przewiezionego z Pawlaka na Majdank. Autor przeszedł wszystkie niemal tragiczne stadia życia więziarskiego i jedynie dzięki własnej sile charakteru, odrobienie szczęścia i pomocy starszych więźniów zdołał przetrwać obóz, w którym według hitlerowskich „praw” więźni mogli przeżyć najwyżej 3 tygodnie. Ciekawe i trafne są charakterystyki załogi esesmańskiej i więźniów funkcyjnych oraz dane o współdziałaniu w ratowaniu więźniów.

Ostatnia publikacja pamiętnikarska „Jesteśmy świadkami” (Wyd. Lub., Lublin 1969) ma charakter zbiorowy i zawiera 23 wspomnienia więźniów Majdanka. Wspomnienia te obejmują różne przejawy organizacji i funkcjonowania obozu oraz życia więźniów w latach 1941—1944, pisane przez przedstawicieli różnych grup społecznych — nauczycieli i uczniów, chłopów i robotników, rzemieślników, księży, lekarzy i inżynierów. Stanowi też ten zbiór pamiętników niemal całościowy obraz życia obozowego, widzianego przez różnych więźniów, zawiera wiele tragicznych w swej wymowie opisów okrucieństwa i zbrodni hitlerowskich. Zbiór zamykają zeznania J. Kwiatkowskiego, złożone w 1946 roku w Niemczech przed Polską Komisją Badania Zbrodni Wojennych, przedstawiające zbrodnie poszczególnych komendantów obozu, członków załogi SS oraz więźniów — funkcjonariuszy, przeważnie kryminalistów niemieckich. Publikacja jest przygotowana bardzo starannie i opatrzona słownikiem wyrazów niemieckich używanych w obozie.

„Ludzie na Księżycu”

W związku z materiałami księżycowymi, zamieszczonymi w nr. 17/69 Waszego dwutygodnika pragnąłbym zauważyć:

Gęstość atmosfery księżycowej różna jest nie 10⁻¹², a 10⁻¹⁴ — 10⁻¹⁵. Własne nazwy ma nie kilkadziesiąt, a kilkadziesiąt kraterów księżycowych. Polskie nazwy ma więcej kraterów niż podane 2. Lunnik 1 przeleciał koło Księżyca w dniu 4 stycznia, a nie 2. Pionier 4 przeleciał koło Księżyca w dniu 5 marca, a nie 2 (był to zresztą eksperyment mało ważny, toteż nie jest rozumiem, dlaczego jest on wymieniony, skoro pominiętych zostało wiele znacznie ważniejszych). Lunnik 2 spadł na Księżyc w dniu 7 października, a nie 4. Schirra nie Shirra. W zestawieniu za rok 1964 pominięto bardzo ważny lot ku Księżycowi aparatu kosmicznego Ranger 7, który przekazał pierwsze szczegółowe obrazy powierzchni Księżyca. Luna 9 wylądowała na Księżycu 3 lutego a nie 31 stycznia. Nie Gene Cernan a Eugene Cernan, nie Jung a Young, nie Michel Collins a Michael Collins.

W zestawieniu za rok 1966 pominięto, iż uczeni radzieccy uzyskali pierwszy w dziejach sztuczny Księżyc — Lunę 19, co było nadzwyczajnym ważnym eksperymentem. Nie Russel a Russell. W zestawieniu za rok 1967 pominięto nad-

zwyczaj ważne radzieckie bezzałogowe eksperymenty z Sondą 5 i 6 — pierwsze obloty Księżyca i powroty na Ziemię. Nie David Scott a David Scott. Apena to nie nazwa „kabin”, a rakiety. Nieprawda jest, że Gemini 8 nie połączył się z Apeną, bo właśnie miało to miejsce po raz pierwszy, a śmierć niebezpieczeństwo wynikło na skutek tego, że oba obiekty upadły w ruch wirujący. Załączona fotografia powierzchni Księżyca została wykonana w listopadzie 1966 r., a nie w listopadzie 1968 r. i przedstawia wnętrze krateru Kopernik. Łączę wyraży szacunku.

Dr inż. Andrzej Marks
Warszawa, ul. Szafirowa 41

Członek Polskiego Tow. Astronomicznego i Polskiego Tow. Astronomicznego.

OD REDAKCJI: Dziękujemy uprzejmie za uwagi. Ale jeżeli chodzi o gęstość atmosfery księżycowej, to oprócz my się na informację, zawartą w VI tomie Wielkiej Encyklopedii Powszechnej na str. 267 i ew. błąd obłąka redakcji naukowej PWN. Różnice w danych przy poszczególnych porażkach kosmicznych pochodzą stąd, że my — podobnie jak WEP i wiele innych źródeł — podawaliśmy dzień wystrzelenia rakiety, a nie dokonania takiego czy innego eksperymentu. Stąd różnice 3—3 dni.

Poza kilka początkowymi lotami bezzałogowymi podaliśmy później tylko loty załogowe. W przeciętnym przypadku naszą listę można by pokazać w dalszym, a przecież nie taki był sens zestawienia. Trzykrotnie nazwa nie jest zawsze jednolita do źródeł polskich, stąd — nie licząc dwóch błędów literowych — pewne różnice. My opiera-

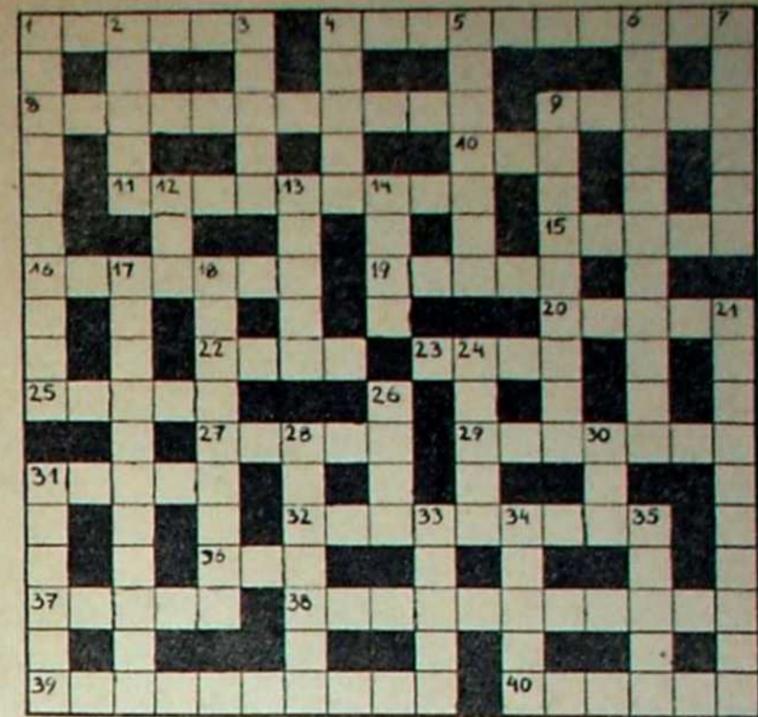
Krzyżówka nr 7

POZIOMO: 1. miasto obwodowe w Białoruskiej SRR współpracujące z Białymostkiem, 4. poeta polski z przełomu XIX i XX wieku, 8. jeden z twórców Konstytucji 3 Maja, marszałek Sejmu Czterolatniego, 9. fiasko, niepowodzenie, 10. amerykański wywiad, 11. obozowa książka Z. Nalkowskiej, 13. miejsce akcji Iliady, 18. spis spraw do rozpatrzenia, 19 stan w USA, 20. pręt na firankę lub element architektoniczny, 22. odcinek trasy, 23. kłótnia, wymiana odmiennych poglądów, 25. kongres, 27. imię wybitnego polskiego ekonomisty, 29. pożyczka pod zastaw, 31. miasto w powiecie tczewskim, 32. grupa poetycka i pismo literackie działające w Lublinie w latach międzywojennych, 36. mocne piwo angielskie, 37. w opoście (wspak), 38. polski poeta Odrodzenia, zmarł w Lublinie, 39. uciech a rzemieślnika, 46. w tym miejscu w powieści.

PIOWO: 1. ostatnio zmarły polski pisarz emigracyjny, 2. frakcja, 3. brązowa farba, 4. ptaki z rodziny krukowatych robiące hałas rano i wieczór w parkach, 5. dawna drukarnia lub księgarnia, 6. założycielka muzeum w Puławach, 7. uszkodzenie maszyn, 9. mapa przedstawiająca wartości liczbowe danego zjawiska, 12. długi okres czasu, 13. największa rzeka Francji, 14. wyszczególnienie cech, 17. substancja, której obecność zmienia szybkość i kierunek reakcji chemicznej, 18. obniżenie siły mięśni lub zmysłów, 21. miasto powiatowe w woj. kieleckim piaskowcami słynące, 24. końcówki kończy, 26. przypadek, 28. poprawianie błędów, 30. imię niesławnej pamięci pld, wietnamskiego szefa państwa, 31. człowiek, wirtuozyczny manier, 32. węgierski kompozytor, twórca wielu operetek, 34. pod kinem, 35. włoski śpiewak o imieniu Tino.

Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 16 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji: (Lublin, skr. pocz. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody w postaci bonów książkowych.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 5
POZIOMO: tachometr, podłec, Arno, Szal, Trud, igła, doba, gaska, balneolo-



gia, rubel, Erato, zebranie, blok, totem, drops, Itaka, Ina, Wieniawa, spłot, Indra, przesuwania, Cezar, dził, wiór, nuta, drób, lbra, amator, makolągwa.

PIOWO: tester, czad, metal, radio, posag, liga, Czantorja, tobez, lkar, baletmistrz, Godebski, Sienkiewicz, Ewa, ucho, Anna, Radawiec, Niobe, truskaw-

ka, tiul, kadr, nów, Diana, opar, Arabia, zefir, Urnam, Idaho, róza, krag.

Nagrody otrzymują: Bronisław Haba z Sandomierza, ul. Zeromskiego 12, Kryszyna Harczuk z Janowic k. Zamocia, Technikum Rolnicze, Jacek Krackowski z Lublina, ul. Lubelska 84, Adam Malodobry z Zamocia, ul. H. Sawickiej 192 A.

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Poczyna się coś dziać. Ludzie z urlopów wracają, ludzie na Księżycu lądują, Izba wytrzeźwień wali kompletami (to w związku z tym

pierwszym). Ale lata żal. Nie tylko nam zresztą, także naszym korespondentom, którzy nadsyłają liczne poetyckie egzemplifikacje swoich czasowych przysłów i relaksów. Nie wierzymy Panu K. P. z Kakanina, iż swój napisany w sierpniu wiersz oparł na nastrojach „wiosennego ranku”, raczej upalne letnie skojarzenia tu zagrały:

Wiosenny ranek
czym mnie powita
śpiewem skowronka
znad pola żyta
nieśmiały zbiegł
z zielonką
znad czarnej łaki
świerkiem szarawym
w mehowej szacie
no i szyszkami
których wieiórki
nie posprzątały
wtem zagrały
me usta zębami
tak
dopiero piąta
zero, zero

Sianokosy sianokosami, lato latem, ale tu technika domaga się poetyckiego skwitowania. Wyręcza nas ten sam autor:

NOE W „APOLLO”
Neron się nosić kazał
z Poppea „Mieczna”
zawsze miał ludzi
karele potem
mleli panowie
chłopi płacili
sianochód wreszcie
wynalazł człowiek
„To brzmi już dumnie!”
nie spuścił powiek
póki Księżyc
nie storpeduje
przeżyje ten z tytułu
z Lady Dallas
w arce „LM”
„made in the WORLD”.

Jak widać, nasz autor umie łączyć humanistyczną pogardę dla techniki z budującymi refleksjami natury społeczno-ideowej. Oczekujemy na dalsze teksty rozprawiające się z tymi sprawami.

Broszka z nazwiskiem

Dokończenie ze str. 8

właściwa praca to opera, ukończył konserwatorium w Baku i tam pracuje, grał główne role w operach „Don Juan”, „Figaro”, „Rigoletto” i „Eugeniusz Oniegin”. Jest Azerbejdżaninem, choć nie zna swego ojczystego języka, bo ojciec był pol. Azerbejdżaninem — pot. Gruzinem (polegił w Polsce, pod Kostrzynem), matka pochodziła z gorskiego plemienia Odgiejców, mającego swój język, on sam zaś wychował się w domu stryja, ocalałego z Polką, wszędzie więc w jego rodzinie mówiono po rosyjsku, bo tylko tak nawzajem się rozumieli. Nie mogłem z nim porozmawiać dłużej, wyszliśmy z hotelu i napadli nań łowcy autografów, ze 200 osób, Muslim ma lat 27 i jest szpakowaty, jeszcze tydzień takiego młynia i osiwiabym zupełnie, powiedział, wreszcie zabrał go Wiesław Kryński, dyrektor lubelskiej estrady, już proponował angaż. Ale rekordy w rozdawaniu autografów pobijał nie Muslim i nie Miquel i Henri Des, a także żadna z pięknych

pań, Conchita, Jordanka Christowa, Dagmar Frederic i Lucia Altieri, a Niemca, który ostatecznie nie występował nawet poza konkursem. Chodził po Sopolce w szerokokrzydłym czarnym kapeluszu z czerwoną szarfą, spod którego wychodziły mu długie, splete w jeden koszyk włosy, na szyi miał czerwony szalik, pod nim wielki medalion, nosił zieloną marynarkę w kwiaty, czarne przykrótkałe spodnie i pantofle na podwyższonym obcasie. Wchodził do „Grandu”, milicjanci zatrzymywali w drzwiach tłum rozhisteryzowanej, biegającej za nim młodzieży. Niemca ślad przy stoliku restauracyjnym, rozmawiał, nie zdejmując przy tym kapelusza, a kiedy wychodził, wielbiciele ciepłiwie czekający znosili go na niego. Leż najwięcej gapiów — choć nie żądających autografów — zbierało się obok innego Czesława, fertycznej kobiety w okularach, z długim kasztanowatym warkoczem i długą gęstą siałą brodą i wąsami. Dama owa raz pojała się w obściej mini, tamując ruch samochodów i powodując skomplikowany korek na jezdni, aby po godzinie paradować na moło w długiej, czarnej

sukni z falbankami. Nie będę nikogo trzymał w niepewności, kobieta z brodą przez 6 dni w tygodniu jest popularnym mistrzem reperacji parasoli, a w niedzielę zakłada perukę z warkoczem, spilką i w ten sposób bawi siebie i innych, a może reklamuje firmę? Każdy zarabia, jak może, na kawałek chleba. Koncert wieczorny zaszereżył swą obecnością minister Lucjan Motyka, lecz jako że festiwalowego znacząca i-dentyfikacyjnego z nazwiskiem nie miał, nie został przez porządkowych wypuszczony, ktoś tam powiedział im, że to minister, dobra, dobra, wrzasnął porządkowy, znany takie numery, każdy mówi, że kimś jest, wreszcie ministra wypuszczono dzięki interwencji jego córki, które śpiewają w zespole, dziś bowiem łatwiej sobie dać radę będąc piosenkarszem niż ministrem. Fajnie jest, pomysłem, opiszę to, kultura jest takim resortem, że można opowiadać anegdoty o ministrach bez obawy o obraz. Nazajutrz po festiwalu jakiś kolekcjoner chciał odkupić ode mnie broszkę z nazwiskiem. Nie sprzedałem. Dawał 20 zł.

Proza

Bogusław Kogut, Opowiadania wybrane. Dobry przegląd twórczości prozatorskiej pisarza — z lat 1956—1963. Tematyka wiejska.

Władysław Machajek, Współczesny. Trzeci wydanie powieści współczesnej, której autor ma na swoim koncie przeszło trzydzieści książek reporterskich i beletrystycznych.

Jan Stoberski, Będę żył dalej! Pięty z kolei tom opowiadań tego autora. Posługując się metodą subtelnych przerysowań groteskowych, Stoberski analizuje najintymniejsze jednostkowe doznania narratora.

Adam Sznaper, Opowieści z Fantazji. „Ja/ Ty/le co na drodze znajde/ To moje/ Ewangelista współczesny./ Bylem zawsze powiastą odróżnić/ Lajdaka od człowieka./ O nie więcej nie stoje!”. To motto, zaczerpnięte od Z. Skibniewskiego, dobrze oddaje charakter książki, owej bajki dla dorosłych dzieci — jak głosi podtytuł. Interesujące ilustracje oraz opracowanie graficzne Tadeusza Sowińskiego.

Kazimierz Traciewicz, Pociągi jadą w różne strony. Powieść współczesna, której akcja obejmuje czasy ostatniej wojny, okupację oraz dzień dzisiejszy w naszym kraju. Autor ogląda przez pryzmat codzienności rozmaite losy ludzkie robotników-kolejarzy.

Andrzej Wasilewski, Cywilizacja i literatura. Zbiór esejów, częściowo już publikowanych w periodykach, na temat aktualnych zjawisk i sytuacji w polskiej literaturze oraz jej szerokiego zaplecza kulturowego.

Nadesłane książki

Wydawnictwo Literackie w Krakowie

Poezja

Jan Brzękowsky, Erotyki. Wiersze znanego poety i teoretyka awangardy międzywojennej, twórcy do dziś.

W tej samej serii ukazały się liryki: Bolesława Taborskiego, Głos młotnica, autora publikującego wiole również za granicą, oraz:

Franciszka Surówki Brzegowskiego, Słowa elementarne, wybór wierszy z lat 1925—1928, pochodzących z czterech tomów Surówki ogłoszonych przed wojną oraz z licznych jego rękopisów; autor brał udział w radykalnym ruchu „Wici” i Stronnictwa Ludowego, obecnie jest polonistą w liceum w Wieliczce.

W innej serii, poświęconej bodaj młodszemu poetom, ukazały się:

Mariana Czepca, Marsz korników, Rafała Wojaczka, Sezon.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOŚTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSLAW DIURECKI, IRKNEUSZ J. KAMINSKI (kierownik działu publicystyki), MACIEJ PODGORSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 33
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-33, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-33

Korespondencje swykta prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; poleceną i ekspresową — pod adresem redakcji.

Zam. 3027 27.VIII.69. E.394 F-4

Kamena str. 11

Słowo do Ikkosa

ORAZ trudniej znaleźć sformułowanie określające istotę nowoczesnego sportu. Oczywiście można mówić o jego organizacji, udziale środków państwowych w kształceniu zawodników, poszerzeniu bazy technicznych urządzeń, ale informacje o tym przemycają jak gdyby chyłkiem, bojąc się zbudzić zastrzeżenia co do szlachetności samej idei, która w obecnych warunkach sportowej technicyzacji niegła zatrąca. Pojęcie „kalokagatii”, tak kiedyś popularne u publicystów ten temat poruszających, prawie całkowicie wyszło z użycia, gdyż posiadza się je o zbyt bliskie sąsiedztwo ze świata naiwności, na którą w kontekście dzisiejszych realiów nie może być miejsca. Podobny unik da się zauważyć w felietonie Bohdana Tomaszewskiego „Przed obliczem „papieru sportu” („Kultura” 17.VIII.89), gdzie — zdawałoby się — te sprawy miały okazję znaleźć swe

wielostronne i starcie patrykowania. Niestety, nawet sam przedwinięty Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego wolał się „nie wychylić”. Wygląda na to, że o praktyczności ideowych zasadach sportu wracał do czasów Piętra de Coubertina.

Nie piszę tego ani z sarkazmem, ani z iryską w oku. Po prostu należy sobie zdawać sprawę z przerobieniem, jakie nowoczesny sport przeżył przez te 130 lat. Przerobieniem, które dekaduje o diastolę i zmianie warunków rozpiętych na tej przestrzeni czasu. I dyskwaliifikacji przez to niektóre niecierpiące potównania. Na przykład z okazji niedawno narodzonego nowego rekordu Polski w skoku w dal mówiło się, że polski Stepiński skoczył dalej, niż swego czasu fenomenalny Owens, 8,21 m jest wynikiem pierwszego błasku i lepszym od rekordu Owens, ale i Owens skakał przeszło 30 lat temu. I był amatorem w znaczeniu „absolutnym”, to znaczy nie korzystającym z tych ułatwień, jakie daje państwowa organizacja sportu. I znajdował się w pozycji lidera nie dopingowanego lepszymi uzyskanymi rezultatami. (Dodajmy też nawiasem, że jeden z jego skoków, zmierzony od miejsca odbicia — grubo przed deską — wyniósł już wówczas 8,45 m). Nie zmieniona więc została jedynie miara metryczna, wszystko inne uległo radykalnej ewolucji.

Czy więc w imię „czystości”, nawrotu do hellenickiej, czy olimpijskiej idei sportu należałoby zrezygnować z bloków startowych, tartanu i całego rozgalęzionego systemu szkolenia i treningu? Wadzałaby się przed tym prawdziwa dusza sportowca, entuzjasta, przeciętnej radująca się zawrze, lekkość człowiekowi

uda się przekroczyć o kilka centymetrów granice owego wyrobowanego „nau”, która na pewno czas ustabilizuje się jako nieprzekraczalna granica ludzkiej możliwości. Jest satysfakcja pomysłowa, że 8 m w skoku w dal to na sawodach międzynarodowych nieomal „chleb powszedni”, że przeciętne 100 m w 10 sekund przebiegło już i Indzi, a nie wiadomo, ile ich jeszcze będzie do czasu monachijskiej olimpiady.

Ale z kolei nowa witalność, jeśli postępy wyników chcemy tłumaczyć samymi modyfikacjami w zakresie prędkości i stosowanego sprzętu. Prawdą, że powyżej 3 m w skoku o tydzień da się skoczyć tylko przy użyciu nadającego jej elastyczność. Ze w skoku wwyż (również bez tyczki) ląduje się nie na piasek, ale na coś w rodzaju podwyższonego tartanu, odelumowanego zawodnikowi troszkę o lądowanie po minicelu poprzeczki. Ale równożnie nie nastąpiło np. w pełnieniu kula, a wynik jakieś daleko odbiegł od nieprzekraczalnych kiedyś 17,00 m Torrance'a, które uchodziły za słup graniczny możliwości człowieka w tej konkurencji.

Jednakże społeczny problem sportu zamyka się w alternatywie amatorskości — zawodowstwa. Tu niezdeterminowane jest systematyczne, a nawet amatorskie. Pozostać przy amatorskim, to przede wszystkim ograniczyć możliwości rozwojowe wyścynu, który jest przeciw motorem ambicji i postępu w tej dziedzinie ludzkiego działania. Ponadto zaś — narazić się na trudną do uchwycenia jednoznaczność samej zasady, która

niepostrzeżenie tu i ówdzie może być łamana, stwarzając nierównomierne warunki rywalizacji. Opowiedzieć się za zawodowstwem też oznacza jest faktem oficjalnie uznawanym w wielu krajach — to nieomal przejść do „przemysłowej produkcji” wyników sportowych, których przeciętne jest najposledniejszym wynikiem i zwanym z tym niespodzianka. Tak więc rozstrzygnięcie będzie tu należało do samej rzeczywistości. Wygląda na to, że jeszcze jest za wcześnie na konstytucjonalne ustanowienia. Osłonięcie wyrażone wspaniałych rezultatów jeszcze jest zbyt wielkie, by w ślad za rywalizacją zawodników na ołtykach stadionów nie poszła rywalizacja społeczeństwa w zakresie organizowania całego zaplecza dla swych reprezentacji. A że sportowe optimum w dzisiejszych warunkach nie jest możliwe do osiągnięcia na zasadzie „sportu niedzielnego”, uprawianego hobbystycznie na marginesie innych zajęć zawodowych, jest zmianieniem czasu, którym rzadzi specjalizacja i maksymalna mobilizacja środków.

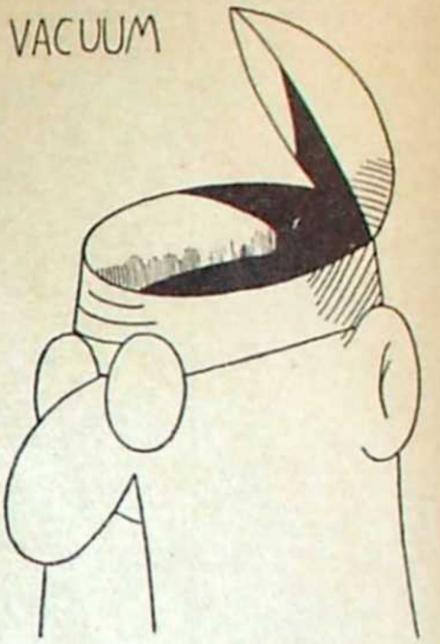
Tak więc duchu Ikkosa, tak często wywoływany wraz z galwanizacją olbrzymich uczestników literackich konkursów olimpijskich, z siłmiśskim spokojem przyniósł z sprężystością naszego społeczeństwa i dynamicznego okresu. Bieżmy przedzi i skaczemy dalej, niż przewidywalnym to sami. Co poświadczyć może również Selene, która w dniu 21 lipca br. miała nie lada powod do zdumienia z racji trzech panów, którzy ukradli jej wyznacznik kontaktu z Księżycem.

Ijon

ESTETA



VACUUM



Rys. W. Fuglewica

BIG-BEAT

Żyjmy dłużej!

PANIE Redaktorze! Żyjmy dłużej! Pod takim szczytnym tytułem już dwanaście lat ukazuje się w Polsce miesięcznik, który ma na celu uświadomienie obywateli PRL, jakie to niebezpieczeństwa czy-

haja na ich serca, wątroby, nerki, trzustki etc. Pismo cieszy się ogromnym wzięciem, kilkadziesiąt „Ruchu” sprzedają się spod rąk, po znajomości, mimo że nakład wynosił aż 200 tysięcy egzemplarzy. Z powodzeniem mogłoby zapewne pójść i następne 200 tysięcy, jako że lubimy sobie na pieskie życie ponarzekać, ale nikomu z nas na drugi świat się nie spieszy.

„Żyjmy Dłużej” wpada mi w ręce przy ław. okazji. Cóż — młodość — jak mawiał Hemingway — jest nam dana po to, aby czynić głupstwa, a wiek dojrzały, aby ich żałować. Może jednak właśnie dlatego „Żyjmy Dłużej” powinienem czytać regularnie. A jeśli nie czytać, to przynajmniej przekładać.

Oto okładka ósmego numeru. Spienione morze i na tle żywołu rozebrana dziewczyna. Czerwony napis głosi: „Woda albo życie”. Znalazłbym trzęcie wyjście, ale Pan Redaktor w trosce o najmłodszych czytelników i tak by to zdanie wykresilił.

Odwracam numer... O, brawo, brawo! Również rozebrana dziewczyna, wyraźnie widać nie tylko pierś (owsem), ale i twarz. Aż chciałoby się poprosić o adres, niestety, nie ma nawet nazwiska fotografika. Zdumiewa mnie jednak fakt, że to rozkoszne zdjęcie ilustruje artykuł nt. „O wosach A-Z”. Jest to zresztą rodzaj powieści odcinkowej „Żyjmy Dłużej”, albowiem u góry pisze czarno na białym „ciąg dalszy” u dołu zaś „c.d.n.”. Ponieważ, jak rzekłem, pisma regularnie nie czytuje, trudno mi powiedzieć, o której literze aktualnie mowa. Chyba o „d”.

Panie Redaktorze! W redakcji „Kamenu” słyszy się niekiedy wątpliwości, czy warto na drugiej stronie zamieszczać zdjęcia bar dziej lub mniej roznieglizowanych artystek filmowych. Argumenty są takie: pismo w dużej mierze trafia do młodzieży szkolnej, szanowne ciało profesorskie może mieć z nie, że deprawuje się młode istoty. Ha, ha, ha! Koń by się uśmieł! Sam niedawno chodziłem do

szkoly i takie fotki, jakie publikuje „Kamenu”, mogą uchodzić za wzór skromności. Pokaż Panu kiedyś, jakie piękne egzemplarze skandynawskich „Qwicków” trafiają w ręce młodzieży! Jak kwitnie handel wymienny! Nawet „Forum” ze swymi obrzezankami nie liży się. To dobre dla starszych nanów!

I dlatego Panie Redaktorze, wbrew temu wszystkiemu, co napisałem na początku, wcale nie mam za złe miesięcznikowi „Żyjmy Dłużej” tego, że propaguje piękno kobiecego ciała. Ktoś to przecież powinien w Polsce robić. „Przekrój” śmiertelnie spoważniał. „Dookoła Świata” stręczyła, od czasu do czasu jenszy wychylił się „Przyłóż”. Pozostałe więc „Forum” i „Wykrzykniki”. Malcharka we „Współczesności”. Na trzydziestokilkumilionowy naród stanowczo za mało! No i na pewno teraz Pan, Redaktorze, zastanawia się, czy Jacek Kpi, czy pisze poważnie? Ba, żeby to ja wiedział!

Jacek

FELIETON Z REZERWY

Precz z motoryzacją!

O KROPNIE lubimy w naszym kraju różnego rodzaju akcje. Wiele spraw, ważnych i nieważnych, zatłwamy na zasadzie akcyjności. Jeszcze się nie skończy jedna akcja, a już zaczynamy dwie następne, nie bardzo interesując się tym, czy i jakie, a przede wszystkim czy trwałe, rezultaty przyniosła pierwsza.

Niezmiernie rzadko zdarza się, aby jakaś akcja w skali krajowej trwała dłużej niż pół roku. Niewzłpły rekord dzierży tu trawająca od kilku lat akcja walki z rozwalem motoryzacji. Nieprawda? Oficjalnie, oczywiście, nie. Ale nie chodzi o oficjalne stanowisko władz, lecz o praktykę dnia codziennego. Ta zaś tezę o walce z motoryzacją zbyt często potwierdza.

Oto Centrala Produktów Naftowych wydała spis wszystkich stacji benzynowych w kraju. Są nie tylko adresy, ale i godziny otwarcia, rodzaj sprzedawanej benzyny i olejów. Informacje niezbędne każdemu, kto kieruje pojazdem o dwóch, trzech, czte-

rech lub więcej kółkach. Zwłaszcza w okresie urlopowym. Ale cóż z takiego wydanego raz na kilka lat spisu, gdy wydaje się go w mikroskopijnym nakładzie 100 tys. egz., podczas gdy samochodów jest już milion, a drugie tyle motocykli. Jaki byłby szum, gdyby w szkole tylko co dwudziesty uczeń dostał podręcznik...

Po kilkudniowej jeździe nowym samochodem pękła mi uszczelka w pompie wodnej. Oczywiście brak korobostwa wytwórcy. Niby drobiazgi wartości kilku złotych. Ale dosłownie w całym województwie nie można kupić takiej uszczelki. Bo — jak mi tłumaczyli fachowcy od gwarancyjnej naprawy — ten typ pompy został wprowadzony dopiero od dwóch miesięcy, więc części na zamianę będą najwcześniej za pół roku. Tak przynajmniej uczy praktyka. A przez te pół roku ja albo zrezygnuję z jazdy (i właśnie skończy się okres, za który zaplaćcie podatek), albo — wciąż dolewając wodę i jeżdżąc z ka-płacia pomp — będę spryskiwał silnik, radnice, akumulator i dziesiątki innych części. Skody, spowodowane zamoczeniem i korozją, nie są objęte gwarancją, więc wszystko będę musiał naprawiać lub wymieniać za własne pieniądze. No, bo jeżeli zachlewa mi się jeździć...

Podobnie jest z dziesiątkami innych części zamiennych czy akcesoriów. Jeżeli np. w drodze popsuje mi się żarówka czy automat hamulcowy, których przez kilka dni nie znajduję w żadnym sklepie, to mandat będę płacił ja, nie zaś wytwórca żarówek czy automatu, nie zapłaci też grosza kary handel, który tych części zamiennych nie sprowadził w przypadku, gdy zostały w fabryce wykonane.

Całkiem niedawno w Lublinie oddano do użytku nowoczesną i

ładną stację obsługi Polskiego Związku Motorowego. Posiadacze niektórych marek samochodów muszą tam jeździć, inni mogą. Organizacja pracy w tej placówce jest raczej niezwykła. Nie wystarczą przyjechać, stanąć w kolejce, podać braki czy uszkodzenia i pójść do kawiarni w tym samym obiekcie, czekając na naprawę. Muszę sam znaleźć misirza, który zajmuje się naprawą gwarancyjną, potem tego od uszkodzenia instalacji elektrycznej, tego od ustawiania reflektorów, tego od mycia itd.

Przy bramie wjazdowej jest portier, ale on zajmuje się tylko samochodami. Wied do hał i warsztatów wchodzi, kto chce. W rezultacie nieraz więcej tam ludzi obcych niż pracowników. No a obcym nie zawsze się spieszy. Wzjęć w ten czy inny sposób — rące w ten, przypominający wynalazek Fenicjan — usiłują wpłynąć na poszczególne pracowników, aby właśnie ich zatrudnić wcześniej. W rezultacie ten, kto grzezie czeka, zostaje często obsługany na końcu. Albo następnego dnia.

Ale najbardziej bola sprawy związane z bezpieczeństwem jazdy. Nie tylko dlatego, że zdarzają się wypadki, że jest ich zbyt wiele. Chodzi o to, że cała propaganda w prasie, radiu i telewizji — winą za wypadki obciąża zawsze kierowcę: że plany, że łamie przepisy, że jeździ niekulturalnie, że nie ceni ani cudzego, ani własnego(!) życia.

No i wszystkie tzw. środki masowego przekazu już przez kilka lat podjęły wielką akcję przeciwko kierowcom. To oni są zawsze winni. To ich trzeba karać mandatami. To ich wśadzać do

kryminału. To tylko oni powinni uważać na jeźdni...

Nie protestuję przeciw temu, aby karać kierowców już wtedy, gdy popełnili tylko wykroczenie. Ale protestuję przeciw temu, aby tylko ich obciążać winą, aby tylko ich karać. Czy słyszał ktoś, aby ukarano mandatami ludzi, maszerujących — zwłaszcza na wsiach — całymi rzędami wzdłuż jezdni? Albo rodziców, wypuszczających na jeźdni małe dzieci? Albo właścicieli psów, nie prowadzonych na smyczy? W miasteczkach tylko raz czy dwa razy w roku urządzają się tzw. tygodnie nauki chodzenia — potem aż do następnego „tygodnia” nikt się tym nie zajmuje.

Tymczasem walka z motoryzacją — przynajmniej w Lublinie — przyniosła całkiem odwrotne skutki. Ludzie czytali w gazetach, słyszeli w radio, że gdy pieczy przechodzi wyznaczonym pasem, samochód musi się zatrzymać. Więc jest coraz więcej takich, którzy przez te pasy przechodzą wolno, wolniutko, aby zmusić kierowcę do zatrzymania się. Są tacy, którzy nawet zatrzymują się przed nadjeżdżającym samochodem, aby zmusić go do naciśnięcia hamulców. Ciekawe, że najbardziej nienawidzą samochodów starsze panie i młodzi mężczyźni. Myślę, że zbadanie tego zjawiska byłoby ciekawe nie tylko dla socjologów czy psychologów, ale także dla psychiatrów.

No i w rezultacie jestem ciekaw, kiedy prasa, radio i telewizja rozpoczyna akcję uświadamiania ludzi, że kierowca ma nie tylko obowiązki, ale i prawa. Do tego czasu trudno chyba mówić o pełnym popieraniu motoryzacji.

Dost.

Myślaki i muhumory

Stanisław Leszczyński

Już w wieku niemowlęcym przebywał u zlobka. Ogień i woda zawsze tworzą parę. Przypadek jest miejscem, w którym zbiegają się okoliczności.

Nosił wilk owce — wsadzili go do kozy. Czyżby asfalt wymyślono z miłości do kotów? Akord pracuje na mnie — powiedział muzyk. Sokrates akuszerką. Myśli-cielu.

I wilk syty i owca cała... zjedzona. R O Z S T R Z E L I L I !!! (Notabene).

Informacja własna: sąsiedzi sklepu nabiałowego mają mleko pod nosem.

Nogi — pozostałość po piechocie.

Niepozorny: pozorny niepozorny.

Marynarze często lubią opowiadać poniżej poziomu wody.

Niektórzy są zbyt mali, by Zły mógł w nich zamieszkać.

Uciekł ze strachu przed posądzeniem o tchórzostwo.

Tylko prenumerata!

Dość często otrzymujemy od naszych czytelników listy, że w tym czy tamtym kiosku „Ruchu” zabrakło „Kamenu”, lub że w innym kiosku naszego pisma w ogóle kupić nie można. I rzeczywiście — nie we wszystkich kioskach można kupić „Kamenu”. Trudno też uregulować kolportaż tak, aby za każdym razem zadowolili wszystkich, stałych i dorwycezych czytelników. Stąd też najlepszym i najwygodniejszym sposobem zapewnienia sobie stałej dostawy „Kamenu” jest prenumerata.

Prenumerata kwartalna, kosztuje 13 zł, półroczna 26 zł, roczna 52 zł. Można ją zamówić w każdego listonosza, w każdym urzędzie pocztowym i we wszystkich oddziałach lub delegaturach „Ruchu”. Niezależnie od tego można wpłacić odpowiednią sumę na konto PKO 2-6-544 Lublin, dopisując na blankiecie: prenumerata „Kamenu” na okres... Przypominamy, że prenumeratę należy wpłacać do 10 dnia miesiąca, poprzedzającego dany kwartał, półrocz lub rok.

Odpowiedzi redakcji

G. T. w Lublinie. Jak wiadomo, nie udzielamy odpowiedzi listownych. W „Kariere” podobal nam się, by tak rzec, wnikliwie-ironiczny stosunek do świata i osoby narratora... Formuła językowa tej prozy zdaje się odpowiadać groteskowemu widzeniu rzeczywistości. Wszystko zatem w porządku, przynajmniej perspektywnie, tylko trzeba grupować obserwację bardziej zawężone, skupione wokół jednolitej sprawy. Zaniepokoiły nas trochę podniecający religijny — to nie w dobrym stylu, a literatura „dzień” przeciętne w społeczeństwo. Zachęcamy wszelako do dalszej pracy, w której powinna się Pani skupić na artystycznej analizie rzeczywistości naszego kraju. I drobiazgi jeszcze — trzeba się nauczyć dzielić tekst na akapity. Czasem zresztą to tylko pozornie drobny. W prozie „strumienia świadomości” brak akapitów pełni ważną funkcję.

C. F. w Ostrołęce. Dwa niebezpieczeństwa grożą Pańskiej muzyce. Pierwsze — skłonność do opisywania, co, nawet gdy autor zgrabnie operuje językiem, prowadzi do jałowego postycykiej („Wiosenne sprężenia”). Drugie — schematyczne i bezrefleksyjne humanistyczne i opisowymi obserwacjami zewnętrznego kontekstu: refleksja osobno, bum!, opis osobno, bum! („Karpusiowa pejzaż”). To są dopiero wprawki poetyckie, jakby próbną wypracowania mało doświadczonego autora. Refleksja powinna być integralnie wtopiona w pejzaż, do tego musi Pan dążyć i chyba Pan to osiągnie, bo — wedle nas — są tzw. przebyłski talentu. Życzymy cierpliwości i efektywnej roboty. Liczymy, że za jakiś czas otrzymamy od Pana wiadomość.

J. Z. w Bełkach. Teksty literackie oceniamy w redakcjach odpowiednich pism i wydawnictw. Ma Pan wszak dopiero 18 lat, a dziś, kiedy

i uprawianie literatury wymaga szerszej wiedzy oraz specjalizacji, trzeba być geniuszem, żeby w tym okresie życia wstąpić pewnym krokiem na Parnas. Tym więcej, że uprawia Pan prozę, a ta wymaga większej sumy zewnętrznych przynajmniej doświadczeń i obserwacji życiowych niż poezja. Trzeba przecież z czegoś te fabuły budować. W rezultacie — może warto jeszcze trochę poczekać, zanim zwróci się Pan do kogos o fachową ocenę opowiadań?

M. K. K. w Stalowej Woli. Wyjątkowo odpowiadamy autorowi mało czytelnych rekopisów. Z tego, co zdołałmy w pocie czoła odczytać, najpóźniej zdał nam się wiersz „Powroty”. Do publikacji właściwie pozostałych martwi nas tendencja, o której w tej rubryce już wspominaliśmy, mianowicie — jałowe opisywanie, krajoznawstwa wielkiego w tym przypadku. Ale zainteresowała nas Pańska poetycka sprawa. Wniosek — napisać o sobie do „Kamenu”, czym Pan się zajmuje w tw. życiu, ile lat ma etc., przesłać ma s z y n a p i s innych utworów. 卍

J. P. w Helenówku. Coś nam się wydaje, że literaturę pojmują Pan jako pole dla wyrażonych w publicystycznej formie deklaracji ideowo-polityczno-patriotycznych. Był kiedyś czas, gdy „kupowano” za dobrą monetę takie teksty. Czas ten minął. To dobrze, iż jest Pan pewien swoich przekonań, naszym zdaniem — słusznych. Nasz kraj dały do tego, by te założenia stały się w całej rozciągłości realne. Ale ten proces się składa, wiele ludzkich problemów, ale też wiele porażek. Literatura jest m.in. po to, by poświadczając te sprawy, w całej ich złożoności, a dopiero potem, a w każdym razie równocześnie, tworzyć modele perspektywiczne przyszłości osiągnięć.

Wszystkim autorom u nas publikowanym, współdzielającym się publikacją, żądamy sympatycznej oraz osobom redakcji nie znanym, ale widocznym z nich sympatyzującym — serdecznie dziękujemy za liczne wdękówki z urlopowymi podziwieniami.